Cena mk. 1.25

SPRAWA

TYGODNIK, SŁUŻĄCY ODRODZENIU NARODOWEMU W DUCHU KATOLICKIM.

Rok I. *Warszawa, dn. 1 sierpnia 1919 r.* Nr. 26.

TREŚĆ NUMERU:

X. Dr. Kazimierz Lutosławski: Umocnienie chrześcijaństwa.
X. Dr. J. Herget: O uwzględnienie tradycyj historycznych.
Ratyfikacja Traktatu. *(X.).*
Z obrad sejmowych *(pł.).*
L. Rogoziński: W sprawie Gniazd sierocych.
X. Dr. Kazimierz Lutosławski: Oszustwo.
Julian Dziewołtowski: Naiwność czy udanie?
Wojna i polityka *(Z.).*
Ant. Puchała: Raz jeszcze o socjalizmie Mickiewicza.
Pokłosie *(Ad.).*
Uwagi *(s.)* i *(c.).*
Z pism i książek.

W odcinku:

X. Witold Czeczott: Ku czemu Polska szła?
X. Dr. Bolesław Wilanowski: Towarzystwo imienia Papieża Benedykta XV.

Umocnienie chrześcijaństwa.

Że wychowanie powinno być religijne — jest to zasadą życiową powszechnie uznaną. Nawet tacy państwo Daszyńscy i Moraczewscy, którzy jako działacze publiczni zwalczają religję i oszczerstwami ścigają szkołę katolicką—własne swoje dzieci chowają bardzo religijnie (nawet w klasztornych zakładach niekiedy!). Świadczy to zapewne o nędznym gatunku ich działalności publicznej, o szalbierstwie ich agitacji, ale świadczy też jednocześnie o tem, że i oni, jeśli o prawdę, a nie o oszukiwanie mas chodzi, uważają religijne wychowanie—i zachowanie religji aż do śmierci—za najlepsze dla człowieka, choć sami jej nie mają.

Tymczasem jest faktem powszechnie i niewątpliwie stwierdzonym, że inteligencja nasza męska przeważnie jest niewierząca. Uczniowie nasi, dopóki są w szkole, wykonywują praktyki religijne w olbrzymiej większości wypadków w starszych klasach tylko w sposób mechaniczny, jako obowiązek zewnętrzny, narzucony im przez władzę szkolną; najlepsi z nich — praktykują z wewnętrznej potrzeby, ale życie religijne w nich się głębiej nie rozwija, pozostaje zewnętrzne, i nawet ci najlepsi, gdy wychodzą z pod bezpośredniego nadzoru—ulegają lenistwu i obojętnieją. Ogromna większość—prawie wszyscy—po wyjściu ze szkoły praktykować przestają, powracają do konfesjonału — i to z przymusu formalnego—przed ślubem, i (najlepsi tylko) — przeważnie znów z wewnętrznej potrzeby — przed śmiercią. Jest to dowodem, że praca księży prefektów jest przeważnie chybiona i bezpłodna. Uczniom zewnętrznie daje się pewne, mało zresztą związane ze sobą, wiadomości z dziedziny religijnej, dopilnowuje się, by spełniali praktyki przepisane — ale nie wszczepia im się istotnego życia religijnego, nie wiąże się ich organicznie z życiem Kościoła, nie pobudza się ich potrzeb religijnych, a budzących się nie zaspakaja gruntownie. Możnaby się szczerze zapytać, czy z typu życia wewnętrznego chłopcy nasi począwszy od klasy piątej, szóstej, są istotnie chrześcijanami, czy w ich osobistem życiu pierwiastek nadprzyrodzony gra jakąkolwiek rzeczywistą rolę.

Niezawodnie jednak jesteśmy świadkami także powrotnej fali odrodzenia religijnego, która, tak jak całą Europę, i nasze społeczeństwo dotyka. I na tem półświadomem poszukiwaniu prawdy, na niezawodnie dobrej woli niezepsutej młodzieży — można oprzeć rzetelną i skuteczną ku dusz zbawieniu akcję. Natomiast uświadomić sobie trzeba, że sposobna chwila ku temu szybko mija, a przez nas opuszczona, niezawodnie popycha naszą młodzież ku siłom wywrotowym, które nie omieszkają pochwycić zawiedzionych tęsknot młodych dusz.

Naprawdę — dziwić się raczej można—że do niedawna jeszcze nie istniała wśród młodzieży szkolnej świadomie przeciwko Kościołowi prowadzona, zorganizowana robota wrogów Chrystusowych. Ale obecnie już — gdy skrępowana poprzednio warunkami zewnętrznemi masonerja poczuła się bezpieczniejszą — tak jak to zrobiła we Francji, w Belgji, w Hiszpanji, w Portugalji i gdzieindziej — zabrała się i u nas do młodzieży szkolnej, opierając się na półświadomych jej tęsknotach, oszukuje ją i usypia czujność pozorami podniosłości moralnej i religji bez Boga, wszechstronnym wpływem niby naukowym we wszystkich przedmiotach szkolnych i atmosferą wychowawczą odpowiednio budowaną — wypłukuje z jej dusz tkwiący w nich z tradycji osad chrześcijański, który martwy na ich dnie spoczywa, zamiast ożywiać całą ich działalność.

Muszą sobie też powiedzieć katecheci: „nie wolno nam z założonemi rękami, z niestety nie dosyć skuteczną rutyną katechizacji za całe narzędzie, oczekiwać katastrofy, ale ufając w pomoc Tego, który nas posłał nauczać maluczkich, mamy obowiązek zabrać się z największą energją do pracy, która jest walką o dusze naszych uczniów. Musimy zabrać się do dzieła natychmiast, aby fala wroga, gdy się podnosić zacznie, zastała już nasz obóz uzbrojony, jednolity i zdolny do stanowczej i skutecznej obrony. Niedługo może już być zapóźno — dziś jeszcze serca młodzieży są dla nas dostępne i warunki zewnętrzne pozwalają nam na nie działać".

Zadanie to ująłbym jako pogłębienie wpływu Kościoła na dusze młodzieży, uczynienie z nich świadomych katolików, posiadających czynne życie religijne.

Środek główny, do którego dążyć trzeba, to jest zrzeszenie uczniów katolików na podstawie katolickiej wyraźnie, aby zyskali przez to oparcie wzajemne przeciwko fałszywemu wstydowi, własnej słabości, płytko-

ści—i przeciwko znakomicie zorganizowanej akcji wrogów zbawienia.

Nie na wszystkie przyczyny smutnego zjawiska, które rozbieramy, bezpośredni wpływ wywrzeć można. Pierwszą z nich — jest niezawodnie zanik życia chrześcijańskiego w rodzinach i w obyczaju społecznym; chłopiec ani w domu, ani w towarzystwie, ani na ulicy, ani w życiu zbiorowem nie tylko prawie żadnej nie otrzymuje zachęty i podniety do uprawiania w duszy pierwiastka chrześcijańskiego, ale naodwrót przeważnie spotyka się z obyczajem, pomijającym stronę religijno-duchową życia, a bardzo powszechnie spotyka się z opinją publiczną, wobec której jawne praktykowanie wiary wymaga nielada odwagi cywilnej, za którą nie może oczekiwać ani pochwały, ani nagrody. Na ten stan faktyczny nie możemy wpłynąć bezpośrednio; odczyty, rekolekcje dla licznych kół społeczeństwa, ale przedewszystkiem wychowanie lepszych katolików—powoli zmieni go i przyczynę zła najogólniejszą usunie. Dziś musimy się liczyć z tem, że wychowujemy młodzież chrześcijańską w społeczeństwie, którego wyższe warstwy zaledwie z imienia są chrześcijańskie, którego obyczajowi, zapatrywaniom, dążeniom niemal na wszystkich polach tak wyraźnie przeciwstawiać się musimy, jak to czynił Kościół w pierwszych wiekach, gdy się rozwijał w społeczeństwie pogańskiem, obcem życiu Chrystusowemu, mającem swoje odrębne dążenia i poglądy.

Drugą przyczyną niepowodzenia dotychczasowej pracy religijno-wychowawczej jest sama nasza szkoła, nie tylko obca szkoła u nas, ale, niestety, i nasza własna. Powiedzieć sobie musimy otwarcie, że szkoła nasza bynajmniej nie jest katolicką i że wychowanie katolika w szkole obojętnej, a często wewnętrznie nieżyczliwej, graniczy z niepodobieństwem. Uczeń szkoły polskiej ma coprawda poparcie regulaminu i zewnętrznego autorytetu szkoły dla swoich praktyk religijnych, ale jaskrawa sprzeczność między tem oficjalnem stanowiskiem szkoły, a rzeczywistem, najczęściej pozbawionem praktycznie religji, życiem jej kierowników i nauczycieli—tem silniej uwydatnia myślącemu chłopcu faryzeuszostwo przepisów i tem skuteczniej od religji go odwraca. Już Chrystus Pan ostrzegał swoich uczniów, aby słuchali nauk uczonych w piśmie, ale według uczynków ich, żeby nie postępowali.

Ale to ostrzeżenie dla naszych chłopców musi pozostać bez skutku—bo znacznie większy wpływ na chłopca od regulaminu i przepisu i od oficjalnego tytułu i stanowiska szkoły — będzie miał realny, jaskrawy fakt, że, z wyjątkiem nielicznych, kierownicy i nauczyciele szkoły naszej do Sakramentów nie uczęszczają, do kościoła wprawdzie chodzą, bo mają obowiązek pilnowania uczniów—ale zato podczas wakacji doskonale się bez Mszy świętej obywają, pacierza nie mówią, przed jedzeniem i po niem się nie żegnają, a asystując z urzędu przy praktykach religijnych swych uczniów katolików nieraz w gorszący sposób zdradzają zupełną nieznajomość obyczaju katolickiego, i naprzykład w Kościele zachować się odpowiednio—poprostu nie umieją. Nawet szczegóły życia domowego nauczycieli nie ujdą uwagi i świadomości uczniów, cóż dopiero mówić o uderzającej nieobecności ich przy Stole Pańskim i przy innych praktykach publicznych i wspólnych dla uczniów i o gorszących faktach odstępstwa od zasad życia chrześcijańskiego.

Dodajmy teraz notoryczny fakt, że nieraz nauczyciele wielu przedmiotów, a zwłaszcza psycho-fizjologji (niesłusznie psychologją zwanej), przyrody i historji—systematycznie przeciwstawiają swoje nauczanie temu, co uczniowje słyszą na lekcjach religji, i że nawet dobra wola, takt i powściągliwość nauczyciela nie zabezpieczy ucznia od równie szkodliwego działania podręczników, z których najbardziej rozpowszechnione zawierają fałsze historyczne i naukowe, sprzeczne oczywiście z nauką, o którą musi potrącać wykład religji — a będziemy mieli pełny obraz tej przyczyny zamarcia ducha religijnego u młodzieży, której na imię: szkoła współczesna, wszelkich rodzajów i stopni.

Na tę przyczynę zła pewien choć nieznaczny wpływ mieć jednak musi katecheta. Jeżeli nie we wszystkich, to w wielu szkołach na zasadzie ich oficjalnego stanowiska można przeprowadzić stanowcze usunięcie z rąk uczniów podręczników, fałszujących prawdę: więc protestanckich i innych inowierczych podręczników historji, przyrody i t. d. Można w takich szkołach przeprowadzić usunięcie nauczycieli, jawnie przeciwdziałających prawdzie, której się uczy na lekcjach religji. I te starania można i należy prowadzić z niezłomną energją i konsekwencją, odwołując się w razie ostatecznego uporu do poparcia władzy i autorytetu Kościoła, którego stanowisko pod tym względem jest zupełnie stanowcze.

Natomiast z faktem, że olbrzymia większość nauczycieli nie żyje po chrześcijańsku, trzeba się pogodzić, jak z pierwszą przyczyną, o której mówiliśmy wyżej: jest to tylko przejaw faktu, że żyjemy w społeczeństwe, nie znającem Chrystusa w życiu codziennem, przynajmniej w jego wyższych warstwach. Jednakże i tutaj trzeba się starać, aby wpłynąć na tych wszystkich nauczycieli, którzy są wiernymi wyznawcami Chrystusa, żeby przezwyciężyli gnuśność i opieszałość — oraz brak odwagi cywilnej — i bez wahania wszystkie praktyki spełniali jawnie, a zwłaszcza do Sakramentów i do Kościoła uczęszczali publicznie, wspólnie z rodziną swoją i uczniami. W tym samym kierunku należałoby jaknajusilniej działać na matki i krewnych naszych uczniów. Kto wogóle wierzy, ten dzisiaj zdradza poniekąd sprawę wiary na ziemi, jeśli tej wiary i jej praktyk nie wyznaje jawnie i publicznie, bo pozbawia tem słabych, a zwłaszcza młodzież—najważniejszej i najskuteczniejszej pomocy w utrzymaniu się w szeregach, walczących o sprawę Bożą. To przekonanie trzeba szczepić i szerzyć.

Następnie do rozważenia pozostałaby kwestja, czy nie jest marnotrawstwem sił Kościoła rozproszenie nielicznych ludzi dla niego pracujących w zawodzie nauczycielskim i w apostolstwie młodzieży—po wszystkich różnorodnych zakładach, gdzie cały ich wpływ jest znakomicie zniweczony przez przeciwdziałanie większości; należałoby raczej dążyć do tego, aby siły katolickie skupiać i w ten sposób uzyskać nieliczne, ale niewątpliwie katolickie szkoły, w których całe ciało nauczycielskie żyłoby jednem życiem religijnem z wychowankami.

Nie bez wpływu też wtedy pozostanie, wobec postępującej demokratyzacji, głos szarego tłumu niższych warstw narodu, niewątpliwie jeszcze katolickich, które wyborem swoim niedwuznacznie zaświadczą, że pragną swoich synów mieć po katolicku wychowanych; w ten sposób z pnia narodu szkoły katolickie będą mogły powoli hodować nową płonkę katolickiej inteligencji; podczas gdy w dzisiejszym układzie stosunków szkolnych—ze wszystkich warstw pochodząca młodzież asymiluje się do pozbawionego religji środowiska warstwy przodującej, i zdrowe, pełne życia siły nowe — przez dźwiganie się po drabinie społecznej

giną dla Kościoła, zamiast mu służyć i wzmacniać jego stanowisko.

Oczywiście pozostaje trzecia przyczyna, na którą społeczeństwo zazwyczaj całą zwala odpowiedzialność — to jest niedostateczność wysiłku apostolskiego ze strony samych księży prefektów. Tę przyczynę najłatwiej usunąć, i trzeba stwierdzić, że praca w tym kierunku w ostatnich latach olbrzymie uczyniła postępy. Zjazdy katechetów przy bardzo starannem współdziałaniu tak władzy duchownej, jak i organizacji kół prefektów we wszystkich środowiskach szkolnych — podniosły już znacznie i ciągle podnoszą poziom pracy apostolskiej prefektów wśród młodzieży. W tym wysiłku naturalnie ani na chwilę ustawać nie można. Ale skutek rzetelny będziemy mieli tylko wówczas, gdy w społeczeństwie utworzy się zwarte środowisko świadomych szermierzy sprawy katolickiej, które wytworzy wokoło młodzieży niezbędną atmosferę, w której wiara jej rosnąć będzie i umacniać się stale.

X. Dr. Kazimierz Lutosławski.

O uwzględnienie tradycyj historycznych.

Wiadomo jakiemi metodami rządy zaborcze usiłowały kraj nasz wynarodowić. W całym zaś aparacie różnych wynaradawiających środków niepoślednią rolę odgrywało rusyfikowanie i germanizowanie nazw licznych miejscowości i prowincyj i nowy a całkiem dowolny podział administracyjny ziem naszych. Zwłaszcza ten ostatni, starannie niszcząc dawne formacje administracyjno-polityczne, celowo zacierał wszelką tradycję historyczną i ślady państwowości polskiej. Stąd to obok austrjackich *Seybuschów*, pruskich *Brombergów* i moskiewskich *Iwangorodów* pokryła się Polska całą siecią obcych nam gubernij, kreishauptmannschaftów i regencyj.

W obecnej więc dobie wznoszenia i odbudowywania gmachu państwa Polskiego zadaniem i świętym obowiązkiem całego narodu, a zwłaszcza miarodajnych i decydujących czynników jest skrupulatne oczyszczenie kraju ze wszystkich obcych naleciałości i przywrócenie mu jego dawnych szat i cech rodzimych.

Rzeczpospolita administracyjnie dzieliła się na województwa i ziemie, a jedne i drugie na powiaty. (Żmudź tylko zamiast powiatów miała swoje trakty). Korona liczyła 24 województwa, Litwa—11. Ten jednak podział na województwa nie był bynajmniej jakiemś dowolnem, sztucznem dziełem administracji rządowej, lecz wytworzył się w naturalny sposób z samego rozwoju historji. Jak wiemy, Polska rdzenna kształtowała się i rosła z prowincji i ziem dość rożnorodnych pod względem etnograficznym i przyrodniczym. Weszły one w skład Rzeczypospolitej na drodze rozwoju dziejowego jako samodzielne dzielnice i księstwa, zamieszkałe przez ludność pewnego szczepu lub plemienia lechickiego. Połączone zaś na nowo ze swą macierzą zatrzymywały swoje dawne granice i nazwy, a przybierały tylko formę województw. Państwo bowiem Polskie zawsze szanowało stare tradycje i indywidualność poszczególnych swoich składowych dzielnic. I tak np., kiedy Władysław Łokietek włączył do Korony ziemię i księstwo łęczyckie, to utworzyło ono województwo tejże nazwy, zachowując swoje dawne granice. W taki sam sposób powstał cały szereg województw z wcielonych księstw: mazowieckiego, płockiego, rawskiego, sandomierskiego, sieradzkiego i t. d. Granice więc składników historycznych Polski

X. WITOLD CZECZOTT.

Ku czemu Polska szła?

(Artur Górski.—1919.—Arct w Warszawie.—Str. 307).

Każdemu bezstronnemu badaczowi dziejów polskich rzucają się w oczy dwa kierunki, dwa prądy, któremi płynęło życie Polski: wyrobienie swobody obywatelskiej i parlamentaryzmu, w czem ona o 200 lat wyprzedziła Europę, z drugiej zaś strony obrona wiary św. od Turków i jej rozszerzenie na Wschodzie drogą unji i apostołowania.

Co do I-go punktu wszyscy dziejopisarze są zgodni, ale co do II-go wielu choruje na daltonizm historyczny i na cywilizacyjne znaczenie Kościoła katolickiego mają wprost zamknięte oczy. Do takich daltonistów należy p. Artur Górski.

Patrzy on na katolicyzm oczami humanisty z XV wieku, który wprawdzie z Kościołem jeszcze nie zerwał, ale odzywa się o nim nieprzychylnie i korzysta z każdej sposobności, by mu przypiąć łatkę. Zato z całą sympatją mówi o pseudo-reformacji, skrzętnie notuje wszelkie najdrobniejsze przejawy tej sympatji w ówczesnej Polsce i staje po stronie zwolenników *Kościoła narodowego*. Nie zwraca uwagi na skutki opłakane, jakie luteranizm sprowadził na Niemcy, rozbudzając wojnę chłopską, rozdzierając kraj jednolity na dwie wrogie połowy i dzięki wojnie trzydziestoletniej, omal nie oddając go w ręce Gustawa Adolfa.

Łatwo przewidzieć, że to samo stałoby się z Polską, a może nawet jeszcze gorszy los spotkałby ją, gdyby protestantyzm ugruntował się był w kraju zewsząd wrogami otoczonym.

Szczęściem do tego nie przyszło, a zawdzięczamy to głównie Zygmuntowi Augustowi i jezuitom. Ale pan Górski nie lubi zakonów wogóle, a jezuitów w szczególności. Tym ostatnim zarzuca: „gaszenie światła", „brak miłości bliźniego", „gwałcenie sumień" (nawracanie unitów), „uczenie w szkołach dewocji, zamiast cnót obywatelskich", „wprowadzenie baroku do architektury z papierowemi kwiatami i gipsowemi obłokami", „urządzanie wystawnych nabożeństw dla pociągnięcia tłumów", wreszcie kult relikwij, między któremi znajdowała się „kropla mleka Najświętszej Panny" i „pióro ze skrzydła Ducha świętego!!!".

Doprawdy rumienić się nam wypada za autora, który bezcześci pióro swoje, powtarzając takie niedorzeczności.

Zato o dodatnich stronach działalności jezuitów, dobrze przez wszystkich uznanych, milczy. Nawet posągowa postać Skargi, sława Sarbiewskiego, niesienie kultury polskiej na kresy w Inflantach, na Białej Rusi i Podlasiu, skropione krwią męczeńską bł. Andrzeja Boboli, a 200 lat potem, misje ojców jezuitów galicyjskich tamże, za Aleksandra II—pozostawiają go chłodnym i obojętnym! Posuwa swoją zaciętość stronniczą do tego stopnia, że obecny powrót do Kongresówki zakonników, wypędzonych ze swojej własności

przechowywane były w postaci prawie niezmienionej pod nazwą województw.

Przy zamierzonym tedy przyszłym podziale administracyjnym kraju należy koniecznie wziąć pod uwagę polskie tradycje państwowe i w miarę możności wskrzesić dawne jednostki administracyjne. Oczywiście, że z powodu nieraz znacznej zmiany warunków i różnych okoliczności nie da się to zawsze w całej rozciągłości zastosować do wszystkich byłych województw, a zwłaszcza do starych stolic wojewódzkich, z których niektóre po zdegradowaniu przez najeźdźców zeszły do trzeciorzędnego znaczenia. W każdym jednak razie, gdzie tylko to możliwe, trzeba całkowicie lub przynajmniej częściowo zachować i uwzględnić dawny podział terytorjalny i wiekami uświęcone nazwy administracyjne. Przedewszystkiem zaś wystrzegać się powinno krajania i dzielenia tych zwłaszcza ziem, które, jak np. Podlasie, Kujawy, Łowickie... zachowały dotąd pod wielu względami jednolitą całość. Wogóle należałoby unikać wszelkich dziwolągów administracyjnych i cudacznych konglomeratów w rodzaju b. Kongresówki, na którą się złożyły strzępy najróżnorodniejszych dzielnic, a więc i kawałek Litwy i skrawki Rusi, niecałe Podlasie, część Kujaw i Wielkopolski, trochę Małopolski...

Sejmowa jednak komisja administracyjna, o ile wierzyć prasie, zdaje się od dawnych tradycji administracyjnych odstępować. Niedawno bowiem „Gazeta Poranna" w № 196 umieściła następującą wzmiankę: „...Kongresówka—w myśl propozycji komisji administracyjnej...—ma być podzielona na 5 województw, a mianowicie: warszawskie, łódzkie, kieleckie, lubelskie i białostockie..." Otóż, jeżeli weźmiemy pod uwagę np. nazwy projektowanych województw, to—z wyjątkiem województwa lubelskiego—żadna z nich nie jest historyczną. Z powyższego projektu widać, że stolicami wojewódzkiemi mają być: Warszawa, Łódź, Kielce, Lublin i Białystok i dlatego zapewne dały one nazwy przyszłym województwom. Jest to do pewnego stopnia, choć nieświadome może, wzorowanie się na Rosji, gdzie gubernje brały swe nazwy od miast gubernjalnych. Tymczasem mamy przed sobą zupełnie inne wzory nie tylko np. we Francji, w której departamenty różnią się pod względem nazw od swoich stolic, ale i u nas w Polsce, gdzie takie województwo mazowieckie nie wzięło wcale nazwy od swej pierwotnej stolicy Czerska, a za Królestwa Kongresowego—Warszawy i podobnie—województwa: inflanckie, podlaskie, podolskie, pomorskie, ruskie, wołyńskie... Miasta powyższe, jeżeli już koniecznie, czy to ze względów politycznych, czy administracyjnych muszą być stolicami, to przecież mogą niemi pozostać, uwzględniając jednak dawne nazwy historyczne. Warszawa więc, leżąca na terytorjum dawnego województwa mazowieckiego, powinna być stolicą wskrzeszonego województwa mazowieckiego, Łódź znowu, znajdująca się w dawnem województwie łęczyckiem, Kielce—w sandomierskiem, a Białystok—w podlaskiem, mogą być głównemi miastami odrestaurowanych województw: łęczyckiego, sandomierskiego i podlaskiego...

Wszelkie stare a dobre tradycje, zwyczaje i urządzenia narodowe wiążą potomnych z chwałą i sławą ubiegłych wieków i pokoleń i stwarzają atmosferę, w której się rozwija i potęguje ta wielka siła i potęga każdego narodu, miłość i przywiązanie do ziemi ojczystej. Dobrze to rozumieli nasi wrogowie i dlatego brutalnie burzyli wszystko to, co im i nam naszą wielką przeszłość przypominało. Nie burzmy więc jej sami, ale ją w miarę możności z pietyzmem wskrzeszajmy.

X. Dr. J. Herget.

---

przemocą caratu — pozwala sobie nazywać „klęską"! Czyż takie zestawienie poglądów autora z polityką naszych ciemiężycieli nie powinno mu dać wiele do myślenia?

Mówiąc o Kościele Katolickim p. Górski zdradza tak głęboką ignorancję, jak gdyby nawet prostego katechizmu nie miał nigdy w ręku. Wyczytałby bowiem z niego, że Kościół Katolicki opiera się na prawdach, przez Boga objawionych, przez apostołów zaś i ich zastępców biskupów rozszerzonych po całym świecie pod przewodnictwem Papieży, z którymi Chrystus Pan obiecał być aż do skończenia świata!

Te prawdy objawione wszyscy ludzie, chcący należeć do Kościoła Katolickiego, muszą uznawać bez względu na swoje osobiste zdania i przekonania. Nie masz tu miejsca na głosowanie powszechne i demokratyczne wszechwładztwo ludu, tak modne obecnie. Wbrew temu pan Górski ośmiela się utrzymywać, że *ustrój Kościoła jest demokratyczny* (?), że pierwotne gminy chrześcijańskie same ustalały prawdy, w które wierzyć zalecano i t. p. Występuje on nawet w roli reformatora Kościoła, dowodząc, że liturgiczny język łaciński jest już dziś niepotrzebny, że należy wprowadzić liturgję polską, która nas *zbliży z Rusią* (!), że z czasem zdobędziemy się na *Kościół narodowy* z osobnym *patryarchą* na czele. Czyżby przykład schyzmatyckiej Moskwy oraz schyzmatyckich mankietników był dla autora tak pociągający? Czy nie dostrzega on, iż Kościół narodowy z osobnym patryarchą katolickim być przestaje?

Takie popychanie narodu w objęcia schyzmy, związane z zaparciem się dziejowego posłannictwa, świadczy nietylko o ignorancji i lekkomyślności, ale stanowi wprost przestępstwo przeciw Bogu i Ojczyźnie!

* * *

Zmuszony do ciągłej z p. G. polemiki, chcę zaznaczyć, że są ustępy w jego książce, z któremi najzupełniej się zgadzam. Są to mianowicie poglądy autora na zasługi wobec kultury polskiej kobiety, żołnierza i księdza. „Kobieta, pisze on, swemi rękami buduje ten fundament polskości jakim był rodzinny dom... W życiu historycznem i literackiem prawie niewidzialna, była ona zdrowiem tego społeczeństwa, stała na straży czystości obyczajów, formowała serca i instynkta. Ona to była główną twórczynią obyczaju... tej siły przyciągającej, która budowała urok kultury polskiej i zapewniała jej zwycięstwo w starciu z każdą inną... W atmosferze życia rodzinnego i towarzyskiego naród nawet politycznie pokonany pozostał nadal niezwyciężonym. Ile tam pracy kobiecej natury, kobiecych uczuć i inteligencji—tego nie oceniono dotąd jak należy. Umiała być matką, żoną i matroną, wychowawczynią pokolenia młodych, które oddawała w ręce szkoły i narodu (a nie jej winą co z tej młodzieży w życiu publicznem wyrosło), — opiekunką ludu, któremu była doradcą i lekarzem. Posiadała ideał moralny i sama w typie matrony polskiej ideał narodowy stworzyła". „Habit szary, w którym matki pokoleń dawały się chować do grobu, dobrze wyrażał jej żoł-

Ratyfikacja Traktatu.

Sejm Rzeczpospolitej uchwalił 31 lipca 285 głosami przeciw 41 ustawę o ratyfikacji traktatu pokojowego z Niemcami i traktatu Polski z Mocarstwami sojuszniczemi, które zostały podpisane w Wersalu 28 czerwca przez delegatów Rzeczypospolitej, pana Ignacego J. Paderewskiego i Romana Dmowskiego. Wynik ten zawdzięczamy temu, że odmowa Izby oddzielnego głosowania nad obu traktatami, zmusiła Thugutowców i Piastowców do zaniechania czczej manifestacji głosowania przeciw ratyfikacji drugiego traktatu, choć konieczność państwową jego zatwierdzenia uznawali. Głosy „przeciw" były zatem nie taktyczną manifestacją, a istotnym wyrazem kierunku politycznego, sprzecznego z polityką Rzeczypospolitej. Dobrze się stało, że poseł Lieberman bez ogródek, wyraźnie treść tego kierunku Sejmowi przedstawił: socjaliści i ich nieliczni ludowcowi adherenci prowadzić chcą Polskę ku przymierzu z bolszewicką Rosją i z socjalistycznemi Niemcami, pragną dla niej zerwania przymierza z Koalicją. Istotnie do tego celu pierwszym środkiem jest odrzucenie ratyfikacji traktatu, zawartego z Niemcami, oraz związanego z nim organicznie traktatu dodatkowego. Skutkiem takiego stanowiska Sejmu byłoby wznowienie stanu wojny między Polską a Niemcami — oczywiście nie dlatego, by tę wojnę rzeczywiście prowadzić, ale by doprowadzić do bezpośredniego zawarcia z nimi pokoju bez pomocy Koalicji, a natomiast z jednoczesnem zawarciem pokoju z bolszewicką Rosją. Któż może wątpić o tem, że warunki tak uzyskanego pokoju byłyby dla Polski opłakane? bardziej opłakane byłyby losy Polski tylko w razie zwycięstwa Niemców. Ale w sytuacji obecnej wycofanie się Polski z układu, w którym jako współzwycięzca dyktowała warunki Niemcom — musiałoby wtrącić ją w otchłań nowej wojny i ostatecznego poniżenia. Tylko wrogowie Polski mogą jej takiej przyszłości życzyć, to też nikt tak szczerze nie pragnął napewno zwycięstwa tego kierunku anty-traktatowego w Sejmie, jak Niemcy; jak dawniej, tak i teraz lewica pracuje dla Prus. Oczywiście teoretycznie i patrjota może uczciwie tak opacznie interes Polski pojmować—jednakże oświadczenie posła Liebermana wyraźnie wyklucza taki komentarz: przeciwnicy traktatu nie dlatego głosowali przeciw ratyfikacji, że uważają jej odrzucenie za lepsze dla Polski, ale dlatego, że ponad interesy Polski stawiają interesy międzynarodówki, że celem ich nie jest umocnienie potęgi państwa, ale zniszczenie jej przez rewolucję. Z tego musi sobie jasno zdać sprawę cała opinja publiczna, i powinniby sobie nareszcie z tego zdać sprawę także ci, którzy nawą państwową sterują. Zwłaszcza w dyplomacji utrzymywanie na stanowiskach przedstawicielskich przyjaciół politycznych pana Liebermana — jest ciężką krzywdą dla Rzeczypospolitej; zwykła uczciwość powinnaby im podyktować ustąpienie, skoro nie podzielają poglądu na interes państwa, którym ma się kierować polska polityka zagraniczna. Skoro jednak „socjalistyczne" i „rewolucyjne" sumienie pozwala ludziom zdradzać na służbie sprawę, za której obronę są płatni, skoro na posadach rządowych uważają za możliwe przeciwdziałanie polityce rządu—to nie wolno ich tolerować; dyplomacja polska musi mieć na swoich usługach wyłącznie ludzi szczerze i gorąco przejętych celem politycznym, który sobie Rzeczpospolita stawia w polityce zagranicznej.

Z chwilą ratyfikacji pokojowego traktatu — niepodległość i zjednoczenie Polski staje się niewzruszonym faktem, międzynarodową sankcją stwierdzonym. Rację miał Paderewski, gdy wołał: ocknijcie się z odrętwienia! gdy twierdził, że żadna data chwały pełnej

---

nierską służbę duchową. Szła przez życie jako szlachcianka Chrystusowa, i na tę to szlachtę Chrystusową chowała dzieci i wnuki. Tak żyjąc, uszlachetniała rasę".

„Jej działalność wychowawcza schodzi się z pracą niższego duchowieństwa", przyznaje p. Górski. Przeprowadzając paralelę między dzikością i okrucieństwem współczesnych Niemiec a znacznie łagodniejszemi obyczajami Polaków, zwłaszcza w drugiej połowie XVII wieku, pan G. widzi w tem, i słusznie, owoce pracy nad ludem, dokonanej głównie przez duchowieństwo. „Dzięki wpływom tych ludzi o charakterze przeważnie prawym, dzięki ich kierownictwu sumieniami, ich religijnemu przewodnictwu w ścianach wiejskich kościołów polskich, gdzie pieśń jednoczyła zebranych, gdzie uczucia wdzięczności wobec Bóstwa ujęte były w rytm dorocznych obrzędów, dzięki tej długiej codziennej pracy wieków lud nasz przeszedł przez taką szkołę instynktów, że, aby pojąć moralną wartość jego typu, dość go porównać z ludem ukraińskim lub rosyjskim. Zasługa w tem niemała polskiego księdza. Jakoż z szeregów tego duchowieństwa wyrasta wybitnych dwóch ludzi: Kordecki i Szymon Starowolski" (str. 274 i następne).

Złote słowa! Głębokie myśli! Szkoda tylko, że stają one w sprzeczności z wyżej przytoczonemi poglądami autora. Widzimy w nich jakby mimowolny hołd, oddany temu, na co przed chwilą autor napadał. Boć przecie jeśli niewiasta polska pilnie strzegła cnoty i obyczaju domowego, jeśli tak wiernie dochowywała przysięgi małżeńskiej, bez względu na to, że ten obyczaj zmuszał ją nieraz przez posłuszeństwo woli rodzica oddawać rękę mężowi zasłużonemu w ojczyźnie, ale dwakroć starszemu od niej wiekiem—to dla tego, że wierzyła prosto i szczerze po katolicku, że szła za przykładem nie Magdaleny Chełmskiej, pseudo-małżonki St. Orzechowskiego lecz Piastowskiej Magdaleny z Żębocina, a o duszę jej, karmioną pospolitą ówczas lekturą Żywotów Świętych i opancerzoną hasłem obowiązku posłuszeństwa ustanowionemu przez Boga Kościołowi, odbijały się modne a ponętne nieraz sercu „nowinki religijne", jakie jej bracia i synowie przywozili z Wittenberga i Genewy.

Podobnie też jeśli duchowieństwo tak zbawiennie wpływało na lud i „uszlachetniało jego instynkta", działo się to tym samym sposobem co i dziś, to jest dlatego, że lud ten nie przestał chodzić do spowiedzi, gdzie księża kierowali jego sumieniem, a rozruchy chłopskie Polski nie ogarnęły, bo nieznaną tu była zasada Lutra, że sama wiara bez dobrych uczynków zbawia.

Żołnierz polski był niesłychanie bitny i waleczny, przecież nieraz, jak pod Chocimem i Kircholmem sześciokrotnie liczniejsze siły wrogów zwyciężał, ale był też szczerze pobożny: do boju szedł z pieśnią „Boga Rodzico" na ustach, a przed bitwą całe wojsko przystępowało do stołu Pańskiego. Podkreśla to i słusznie nasz autor, ale zapomina, że rycerstwo polskie XVII wieku z Chodkiewiczem, Żółkiewskim, Czarnieckim i Sobieskim na czele, było wychowankiem szkół jezuickich, którym p. G. zarzuca, że uczyły dewocji, nie cnót obywatelskich.

przeszłości nie może się równać w blasku świetności, w pełni szczęśliwości, w doniosłości dziejowej — z onym pamiętnym dniem 28 czerwca 1919 roku! Błędy i wady traktatów samiśmy bardzo stanowczo wskazali i potępili, ale tylko ślepota, albo zła wola może nie przyznawać, że zdobycz, którą traktat Polsce przyznaje, jest większą, niż wszystko, czego się najlepsi synowie Polski dla niej po tej wojnie powszechnej za wolność ludów spodziewali. Jest to dojrzały owoc usilnej i ciężkiej pracy i walki najlepszych synów narodu — ale jest to więcej jeszcze wspaniały dar Bożego nad nami miłosierdzia. I dlatego na wieść o tem, że traktat pokoju stał się prawem w Rzeczypospolitej powinno ze wszystkich serc Ojczyznę miłujących wyrwać się radosne i wdzięcznej miłości pełne: Te, Deum, laudamus!

X.

Z obrad sejmowych.

Zbliżający się koniec sesji sprawia, że pracowitość komisji dochodzi do zenitu, a i plenum załatwia się z wzrastającą szybkością z olbrzymim materjałem, który koniecznie przed przerwą w pracach sejmowych załatwiony być musi.

Rząd nagle przypomniał sobie, że właściwa inicjatywa prawodawcza do niego należy, i jak pamiętnego lutego przed zebraniem się Sejmu ogłosił dziesiątki dekretów jednego niemal dnia, tak teraz przed rozjechaniem się Sejmu — jak z rogu obfitości sypie projekt za projektem. Robota tak pośpieszna nie wróży nic dobrego, ustawy są nie przemyślane dostatecznie, niekiedy niedość uzgodnione, z komisji wychodzą również niedostatecznie obrobione — wszystko to grozi zepchnięciem naszego prawodawstwa na drogi tandety i nieobliczalnych przeobrażeń gwałtownych. Zwłaszcza niesłychany był projekt ustawy o obrocie ziemią, wniesiony najprzód przez Thugutowców, i w komisji prawniczej pogrzebany, jako zupełnie bezsensowny, a następnie podjęty w niewiele lepszej formie przez pana ministra Janickiego, który z całą śmiałością chciał jedną ustawą podważyć podstawy prawa hipotecznego, wykluczyć dziką parcelację, uniemożliwić swobodne tranzakcje dzierżawne i t. d. z całkowitą pogardą dla wszelkich pojęć prawnych. Komisja prawnicza zdaje się nie zdołała nadać temu projektowi formy prawnie dopuszczalnej, natomiast p. Poniatowski wysunął bardzo dowcipne wyjście z trudności — przez dyskrecjonalne powierzenie rządowi wydawania zarządzeń z mocą ustawy (!!), w celu wprowadzenia w wykonanie i zabezpieczenia „zdobyczy" uchwały rolnej. Ta tendencja spychania na rząd odpowiedzialności ustawodawczej jest bardzo znamiennem przyznaniem się do własnej niemocy ze strony „przywódców ludu", którzy swojemi wnioskami zapędzili wóz państwowy w bagno bez wyjścia, a czując, że dalsze konsekwencje już nazbyt jaskrawo gwałcące pojęcia prawne ogółu, nie znajdą większości w Sejmie — chcą je przemycić przez upoważnienia ustawodawcze dla rządu.

Jest to właściwie akceptacja zasady „oświeconego absolutyzmu", który zapewne w niejednej okazji zapewniałby lepszą obronę dobru publicznemu od demagogicznego parlamentaryzmu; tylko że przy „oświeconym" absolutyzmie panowie Janiccy i Supińscy nie byliby ministrami, a panowie Poniatowscy, Dąbale i tutti quanti nie mieliby wogóle nic do gadania!

W tym samym kierunku przeciwkonstytucyjnym zdaje się iść i najważniejszy akt polityczny obecny — rekonstrukcja gabinetu. Według jedynego naszego konstytucyjnego fundamentu — uchwały sejmowej z 20

Owcześni rycerze polscy byli wedle dzisiejszego sposobu myślenia dewotami, boć przystępowanie do Sakramentów św., kładzenie się do trumny w habicie zakonnym, śpiewanie różańca i godzinek (jak Podbipięta), biczowanie się do krwi (jak Kmicic po spowiedzi na Jasnej Górze), noszenie szkaplerza (jak Rejtan na obrazie Matejki) — to są bezsprzecznie praktyki ascetyczne. Nie przeszkadzały one jednak tym „dewotom" być jednocześnie bohaterami i kochać Ojczyznę, owszem umartwiając ciało hartowali oni i ducha. Tak więc p. G. konstatuje razem z nami, że Polska była głęboko wierzącą i szczerze pobożną. Dlaczegóż jednak, wychodząc z tych samych przesłanek, do odmiennych dochodzi wniosków i zamiast uznać w tem siłę i wpływ Kościoła katolickiego, odrodzonego przez sobór Trydencki po rozterce religijnej, jaką protestantyzm wywołał w jego łonie traktuje go niemal jako wroga swej Ojczyzny? — To już tajemnica logiki autora.

* * *

Na postawione przez siebie w tytule pytanie: „Ku czemu Polska szła?" autor odpowiada: „Ku szlacheckości", ale pod tem mianem rozumie „wiarę w człowieka" bez pańskości, bez chamskości, bez imperjalizmu, bez egoizmu narodowego, której typem był drobny ziemianin polski z czasów Śmiałego, czy Łokietka, Jagiellończyków lub Zygmuntów, to dusze takie jak Kochanowski, Żółkiewski, Sobieski, Kościuszko, Mickiewicz, to bohaterowie powstań, od konfederatów barskich do ofiar 63 r., to dusze kmiecia z nad Gopła, z pod Krakowa i Łowicza. Z tak szeroko i wszechstronnie pojętej „szlacheckości" wynika, że Polska dążyła i osiągnęła ideał demokratyzmu w najlepszem tego słowa znaczeniu.

Czytając cały szereg pochwał, jakie autor roztacza na dwóch ostatnich stronicach swej pracy, szlachetna duma rozpierać musi piersi każdego Polaka, że przodkowie jego w tak zacnym szeregu szli przez dzieje. Ale czyż tak rzeczywiście było? — Czy rzeczywiście tak idealnym był naród, któremu Długosz, przytoczony przez autora, zarzuca zazdrość, nieuznawanie cudzej zasługi, chciwość i pychę. A dzieje na karcie każdej — samowolę i prywatę? Czy było to „wiarą w człowieka" — kaptowanie głosów szlachty pieczenią i kielichem, co nasz autor nazywa patrjotyzmem brzucha? Czy zgodny był z duchem istotnego demokratyzmu ścisły podział narodu na „urodzonych i nieurodzonych", i stosowanie do tych ostatnich wyjątkowych praw, przeciw którym nadaremnie głos podnosili Frycz Modrzewski (O mężobójstwie) i Skarga (Kazanie sejmowe o prawach niesprawiedliwych). Faktem przecież jest, że w miarę jak szlachta zdobywała dla siebie coraz nowe przywileje, coraz bardziej ich skąpiła dla chłopa, który z wolnego kmiecia stał się w XVI wieku poddanym, podlegającym nieograniczonej juryzdykcji pana, aż do prawa karania śmiercią. Mała stąd pociecha, że z prawa tego szlachta polska nie korzystała ani razu (T. Korzon) i że we współczesnej Europie było stokroć gorzej, jednak ta Europa w końcu XVIII wieku wyprzedziła nas w uregulowaniu kwestji stanowej.

lutego, gabinet ministrów w pełnym składzie mianuje Naczelnik Państwa w porozumieniu z Sejmem. Tymczasem zanosi się na to, że się tymczasem bez tego porozumienia obędzie, i że Paderewski przedstawi, a może nawet nie zdąży przedstawić Sejmowi nowego gabinetu po jego nominacji. Absolutyzm ten, gdyby był „oświecony", i gdyby utrafił w wolę jakiejś większości Sejmu—mógłby być tolerowany, ale tym razem jest on ciemny, skandalicznie ciemny, wcale znajomością ludzi i rzetelną troską o dobranie najlepszego składu ministrów nie oświecony, ale raczej kierowany monomanją antyendecką i skłonnością aktywistyczną. Za osławionym austrjackim intrygantem Bilińskim można się obawiać, że cała klika enkaenowa znowu do żłobu rządowego, a co gorsza do władzy i do nadużyć rządowych się dobierze.

Wszak Biliński jest słynny ze swego duchowego i kieszeniowego wychowanka — Stapińskiego; był mistrzem w najnędzniejszej intrydze, w korupcji z góry idącej; pieniędzmi rządowemi kupował demagogów i przez nich za pieniądze zapewniał sobie głosy ciemnej masy chłopskiej. Czy tę niegodziwą, prawdziwie narodowo trucicielską metodę pozwoli mu w wolnej Polsce wznowić Paderewski?

A wątpić można, czy taki Austryjak — „także — polak", innemi metodami rządzić i interesu skarbu pilnować potrafi.

Ale bo też Paderewski naraża się na bardzo niebezpieczną spółkę polityczną, gdy wchodzi w pertraktacje i układy z lewicą — a omija żywioły narodowe; jest to tem dziwniejsze, gdy się to dzieje w momencie, kiedy przedłożony przezeń do ratyfikacji Sejmowi traktat pokojowy spotyka się ze strony całej lewicy ze sprzeciwem, a nawet piastowcy, chcący, by był ratyfikowany, grożą usunięciem się od głosowania! I z takiemi to „państwowo twórczemi" siłami politycznemi próbuje Paderewski budować rząd i dźwigać Polskę.

Z żalem i niepokojem najwyższym stwierdzić musimy, że nie wróży to bezpieczeństwa, rozkwitu i postępu Ojczyźnie.

pł.

W sprawie Gniazd sierocych.

P. Kazimierz Jeżewski, dyrektor Gniazd sierocych, za pośrednictwem posła J. Dębskiego wniósł projekt utworzenia „Wsi Kościuszkowskiej" dla tysiąca dzieci—sierot, szczególnie po żołnierzach, przyczem p. Jeżewski projektuje, że urządzenie i prowadzenie tej wsi ma być powierzone głównie T-wu Gniazd sierocych. Koszt urządzenia ma wynosić 12,000,000 marek, które ma dostarczyć rząd polski.

Od miesiąca z górą komisja sejmowa opieki społecznej zajmuje się tym projektem i przyszła do wniosku, że w żaden sposób tej projektowanej instytucji nie można powierzyć T-wu Gniazd sierocych, gdyż, jak wykazali referenci w komisji, same gniazda sieroce są przez dyrektora p. Jeżewskiego prowadzone niżej wszelkiej krytyki, zarówno pod względem administracyjnym, jak i wychowawczo-pedagogicznym.

Szczególnie program wychowawczo-pedagogiczny w całej swej istocie jest niekonsekwentnym, gdyż przedewszystkiem założenie ideowe w gnieździe sierocem wyraźnie wskazuje, że dzieci takie muszą być wychowywane od pieluch, bo im młodsze, tem potrzebniejszą jest tu pomoc. W ciągu 8—lecia działalności Gniazd sierocych na ogólną liczbę 287 wychowańców wychowało się w gniazdach 228 dzieci, wli-

---

Pamiętnej nocy 4 sierpnia 1789 r. szlachta francuska, nie wyłączając możnowładztwa, oraz duchowieństwa, dobrowolnie złożyła na ołtarzu dobra powszechnego wszystkie swe przywileje, aż do zniesienia poddaństwa włącznie. To też do walki z koalicją monarchów europejskich stanęły całe zastępy ludzi, bose i nieuzbrojone z pieśnią marsyljanki na ustach, i wroga odegnały. U nas niestety Konstytucja 3 maja zdobyła się tylko na zapowiedź „że lud włościański ma być wzięty pod opiekę prawa", ale idee swobody i równouprawnienia, jakie kierowały piórem jej twórców, oraz przykłady Zamojskich, Chreptowiczów, Brzostowskich i Staszyca nie znalazły poparcia ani naśladownictwa wśród szerokich mas szlachty; a gdy włościanie, przez Kościuszkę powołani do bronienia Ojczyzny, śpieszyli zaciągać się do wojska, były niestety wypadki, że ich panowie, powołując się na prawo poddaństwa, żądali ich powrotu do ziemi, do której byli przywiązani.

Opłakany skutek bohaterskich wysiłków Kościuszki i szczupłej garstki jego zwolenników każe nam się rumienić wobec ówczesnej Francji.

„Na Termopilach jaką bym zdał sprawę
Gdyby stanęli męże nad mogiłą
I pokazując mi swe piersi krwawe,
Potem spytali wręcz: Wielu was było?
Zapomnij, że jest długi wieków przedział
Gdyby spytali tak, cóżbym odpowiedział".

(Grób Agamemnona).

Dzieje więc nie potwierdzają wcale optymistycznych wywodów p. G. Jest to niestety tylko panegiryk, panegiryk dla nas szkodliwy i niebezpieczny. W podręcznikach historji dla dzieci i szkół początkowych, oraz w popularnych wydawnictwach, przeznaczonych dla szerokich mas ludowych, dobrze jest uwypuklać piękne strony naszej przeszłości, przemilczając do czasu to, co w niej było złego, o ile bez nadwyrężenia prawdy historycznej jest to możebne. Tak, dziecko musi swą matkę kochać i ufać jej bezgranicznie, bez względu na to, że ona świętą ani nieomylną nie jest. Ale dorastająca młodzież powinna znać całą prawdę dziejową, aczkolwiek bolesną i upokarzającą. Pod prawdą jednak rozumiemy fakty historycznie stwierdzone i umotywowane, nie zaś przypuszczenia i ogólniki.

* * *

Jeżeli w istocie Polska wyprzedziła inne narody w religijnym i moralnym postępie, co z pewnem zastrzeżeniem i my przyznajemy, nasuwa się pytanie, dlaczego do tak smutnych doszła rezultatów. P. Górski tłumaczy jej upadek zbytnią dobrocią i uczciwością charakteru narodowego. „Polska broniła się, pisze on, a jeśli wyciągała oręż, to ku obronie swoich albo obcych. Dlatego ludzie ci wygrywali bitwy, a nie kończyli wojen... Rozgromiwszy najeźdźców uważali sprawę za skończoną i powracali do domów. A jako ludzie dobrzy sądzili innych według siebie. I przez tę wiarę w ludzi upadli". Z tego wynikałoby, że dobry

czając w to wiele, które przyjęto w wieku od 10—12 lat. Olbrzymia przewaga młodzieży starszej dowodzi, że poszukiwano odpowiedniej „siły do pracy" i chciano zadośćuczynić zasadzie gospodarczej „samowystarczalności gniazda", co w swoich przemówieniach p. Jeżewski tak dobitnie podkreśla. Jest to jedna z najsłabszych stron programu.

Rodzice Gniazd sierocych, dopuszczeni do udziału w zyskach materjalnych, oprócz wymagań w zakresie pracy fizycznej pozwalają sobie na oszczędności w dziedzinach: odżywiania, higjeny, przyodziewku etc.

Świadczy o tem raport p-nów d-ra Tadeusza Jaroszyńskiego i Bronisława Krakowskiego z wizytacji Gniazd sierocych, dokonanej z polecenia Ministerstwa Zdrowia Publicz. d. 16 i 23 lutego r. b.

Ze względu na małą liczebność dzieci w gniazdach koszta ich prowadzenia, o ileby zostały użyte pierwszorzędne siły wychowawcze i instruktorskie, wypadłyby b. drogo. W dzisiejszych gniazdach brak tych sił był zupełny.

Dowody 8-letniej działalności Gniazd sierocych mieszczą się w sprawozdaniu: „Uwagi w sprawie dotychczasowej organizacji Gniazd sierocych z punktu widzenia organizacyjno-finansowego". W sprawozdaniu tem po wyliczeniu nadzwyczaj nieokreślonego stanu organizacyjnego 6-ciu jeszcze wegetujących gniazd sierocych czytamy, że: „tak zwanych rodziców wciąż brak, pomimo uprzywilejowania ich kosztem dzieci (nadmierna praca wychowańców)". A że u tych rodziców Gniazd spotykamy często dzieci własne, tedy dola dzieci przybranych może być bardzo ciężką.

I to ma służyć, jako wzór dla pomnikowego dzieła—wsi Kościuszkowskiej, która, jak dosłownie brzmi projekt p. Jeżewskiego, ma być „kamieniem węgielnym *wzoru wsi polskiej*".

Z prawdziwą radością dowiadujemy się, że te zupełnie chybione koncepcje Gniazd sierocych, pozornie tak naturalne i proste, komisja sejmowa opieki społecz. nie uznała za możliwe do urzeczywistnienia. A więc nie będą rozwijane te starego autoramentu Gniazda sieroce, których wyolbrzymianie miałoby jako jedyny skutek—olbrzymie koszta, na jakie skarb państwa musiałby się zdobyć. A kraj potrzebuje instytucyj żywotnych, mogących się naprawdę przyczynić do wychowania zdrowego i oświeconego pokolenia.

W niedalekiej przyszłości zastrzegam sobie jeszcze parę uwag i myśli o projekcie „Wsi Kościuszkowskiej" p. Jeżewskiego.

L. Rogoziński.

Oszustwo.

Pan Koziarski budzi podziw sprytem swojej amerykańskiej reklamy. Możnaby nic nie mieć przeciwko temu, że wabi łatwowiernych i ciekawych, zastępując powoli wstęp bezpłatny opłatą od 1 do 5 marek, ogłaszając jako temat wiecu: „Ratunek inteligencji od śmierci niechybnej", ogłaszając osobno rozmaite specjalności: co sobota—dla dzieci, od 11-ej dla żołnierzy, studentów i dzieci, o g. 5-ej dla inteligencji itd. itd. z iście wyjątkowym talentem reklamowym. Ale—otrzymałem od Związku Włościańskiego Oświaty wyjaśnienie, że jego firmy przy pierwszym wiecu nadużyto: pieczątkę tej organizacji umieszczono na zawiadomieniach bez jej wiedzy i woli! To już jest proste oszustwo, i Związek Oświaty słusznie czyni, udając się na drogę sądową. Korzystam chętnie z tej okazji, by to stwierdzić, że w całej tej aferze Związek Oświaty nie

a uczciwy naród skazany jest na zagładę wobec potężnego a złego sąsiada; szczęściem tak nie jest.

Dobroć i uczciwość nie wyklucza pracy, obowiązku, ofiary i poświęcenia. Naiwność w dziecku jest zaletą. Dobroduszność w prostaczku może być sympatyczną, — w mężu dojrzałym, w narodzie jest wadą, głupotą, czasem wprost zbrodnią. Jeżeli Polacy, patrząc na przewrotność sąsiadów a widząc wzrastającą ich potęgę militarną, nie pomyśleli o organizacji wojska u siebie, nie była to dobroć ale pierwotna jakaś dobroduszność, którą potępiać musimy. Gotowość do pochwycenia za broń świadczyła niewątpliwie o waleczności i bohaterstwie, na które jednak i ludy dzikie się zdobywają; ale natychmiastowe po zwycięstwie chowanie miecza do pochwy, nieosłonienie granic ojczyzny szeregiem twierdz—dowodziło znowuż nieopatrzności i braku wytrwałości, które z „dobrocią charakteru"—nic wspólnego nie mają; są to wady, błędy, grzechy, trzeba to sobie jasno powiedzieć. Jesteśmy spadkobiercami przeszłości dziejowej Polski. Im bardziej ją kochamy, tem lepiej ją znać powinniśmy, abyśmy to, co było w niej dobrego dalej snuli, co było złego—naprawiali, co chorobliwego—leczyli, o czem przepomniała dopełnili. Djagnoza choroby jest poniekąd bolesną i przykrą, jak bolesnem jest śledzenie symptomatów choroby na twarzy ukochanej matki. Rzecz to jednak konieczna dla każdego prawdziwie miłującego ojczyznę. Nie dlatego upadła Polska, że miała ideały, ale przeciwnie dlatego, że nie we wszystkiem i nie zawsze im była wierną; nie dlatego, że zawcześnie wyrobiła swobody polityczne, ale że broniąc swoich swobód, zapomniała o konieczności ich podporządkowywania najwyższemu prawu istnienia i potrzeb ojczyzny. Wskutek tego wolność przeradzała się często w samowolę i prywatę. (Rokosze, zajazdy, liberum veto). Nie dlatego Polska upadła, że jako państwo pozostała wierną Kościołowi i przyjęła uchwały soboru Trydenckiego, temu bowiem zawdzięcza ostatnie swoje triumfy—Kircholm, Chocim, odsiecz Wiednia, obrona Jasnej Góry. Nie dlatego Polska upadła, że nie prześladowała heretyków, ale że zbyt pochopnemi były jej warstwy wyższe do wyrzekania się wiary praojców dla nowinek z zachodu idących, przez co nadwerężyły swój związek duchowy z narodem. Otrząsnęły się one z czasem z tych zgubnych naleciałości w XVII wieku, dzięki jezuitom, ale nie oparły się później prądom niewiary pseudo-filozofów francuskich w XVIII wieku, którym to prądom uległa nawet część wyższego duchowieństwa. Epoka rozbiorów była epoką rozluźnienia więzów moralności, wiary i ściśle z nią związanej uczciwości publicznej. Jak dalece przedajność była tolerowana, dowodem jest, że ulegały jej nawet wyższe umysły, jak ks. Hugo Kołłątaj, który w listach o ustanowieniu konstytucji 3-go maja naiwnie się przyznaje, że przystąpił do Targowicy, bo mu Rosja zapewniła podkanclerstwo i całość majątku (St. Tarnowski. Z doświadczeń i rozmyślań). Nie dlatego Polska upadła, że dała u siebie schronienie żydom prześladowanym w Europie, ale że zrobiła to bez zastrzeżeń, że brzydząc się łokciem i wagą dozwoliła im zagarnąć cały handel w swoje ręce, a mając w nich dogodnych dla swego lenistwa faktorów,

brał żadnego udziału: ja sam, zostałem przez nadużycie jego firmy i pieczęci wprowadzony w błąd. Jednocześnie mogę wreszcie stwierdzić, że mi Rada tego Związku nadesłała szereg ciekawych i pożytecznych swoich broszurek przeciwbolszewickich.

Natomiast pozostaje obrzydliwy fakt, że pan Koziarski do swego bardzo oryginalnego i sprytnego przedsiębiorstwa, z przedstawieniami kinematograficznemi, sensacyjnemi odczytami, wycieczkami do ziemi świętej i Częstochowy itd. itd. — używa bluźnierczo niemal szyldu: „Katolicki", „Liga Katolicka" i t. p. Przeciwko temu jeszcze raz zakładamy najuroczystszy protest. Zapytuję się, czy istotnie w Rzeczypospolitej wolno każdemu dla celów handlowych nadużywać takich tytułów, czy tu prokuratorja — a choćby policja nie ma nic do powiedzenia? Trzeba, żeby publiczność katolicka jaknajenergiczniej przeciwko temu wystąpiła i zmusiła swojem zachowaniem się pana Koziarskiego i jemu podobnych do trzymania zdala od budy jarmarcznej tych rzeczy i tytułów, które ludowi polskiemu są święte. Ale te świętości powinny też znaleźć i u władz polskich skuteczną opiekę.

X. Dr. Kazimierz Lutosławski.

Naiwność czy udanie?

(Raz jeszcze z powodu „Kochanków" Grubińskiego).

Szeroki ogół publiczności warszawskiej zna już „Kochanków" Grubińskiego. Podziwialiśmy w tej sztuce niewątpliwy talent autora i aktorów zwłaszcza, oddany na pastwę dzisiejszej płytkiej, oburzającej, mieszczańskiej moralności, „mieszczańskiej" w najgorszem znaczeniu tego słowa, to — znaczy nieodpowiedzialnej, leniwej, oportunistycznej, klasycznie przeciętnej, niezdolnej do pracy myśli, ani do walki wewnętrznej.

„Kochankowie" są najlepszym dowodem, że człowiek dzisiejszy nie umie cierpieć, walczyć, chcieć, wybierać, że idzie zaraz po linji najmniejszego oporu, że wszelką tragedję przeszepleni, zmarnuje, przeżuje na miazgę codzienności, mody i monotonji, wyrwie losowi kły i pazury, a grom, co ongi druzgotał, sprowadzi po piorunochronie na poziomy.

Tę przeciętność podjął się opowiedzieć Grubiński. Poświęcił jej swój talent, no i namówił paru zdolnych aktorów, by mu usłużyli. Temat wziął nieprzeciętny — i wykazał niezbicie, że „mediocritas triumphans" tematu się nie boi. Temat kazirodztwa, który pod piórem Sofoklesa, Shelley'a, Słowackiego („Beatrix Cenci") czy wreszcie poniekąd Wyspiańskiego („Klątwa" i „Sędziowie") — urastał do potęgi i rzeczywistej tragedji, miażdżącej jednostki w nią wplątane, ten temat wzniosły i okrutny Grubiński potrafił uczynić ot, igraszką chwilowego kaprysu autora i osób działających, potrafił bowiem rozgrzeszyć całkowicie nieszczęsną matkę i niemniej nieszczęsnego syna, taką mniej więcej filozofją: „wasza namiętność jest rozstrzygająca"! Służcie jej nadal, jakeście dotąd jej służyli. To, co się zowie grzechem, moralnością, wyrzutem sumienia, oglądaniem się na religję — to od was wszak samych zależy. Z chwilą, gdy wy te względy negujecie, one przestają istnieć! A więc idźcie w spokoju i dalej grzeszcie. Ja was nie potępię, wy też nie, ani nawet opinja publiczna, boć ona jest już dziś bardzo wyrozumiała. Każdy pozwala innemu na bezeceństwa, byleby się nie wtrącano do jego .. garsonjery".

Oto co mówi Grubiński. Próbowano mu już oponować. Grubiński przy pomocy „Kurjera Porannego" i ultra-chaotycznego naiwusa, podpisanego zagadkowo K. E., zakrzyczał tak gwałtownie oponentów, że dobry smak wytrącił innym krytykom pióro z ręki.

A oto dziś znowu!

„Kochankowie" pragną się popisać swą bezideowością i dezinwolturą przed prowincją polską. Policja chce to bagienko moralne zlokalizować i kordonem zdrowia oddzielić prowincję. Lepiej późno, niż nigdy! Coprawda należało większy szacunek okazać i dla warszawian i „zachować nas od tego powietrza" mieszczańskiej farsy, co chce być uznana gwałtem za tragedję, jednak zabrakło policji warszawskiej stanowczości w decydującym momencie i Warszawa się raczyła „Kochankami"... aż 67 razy. Obejrzała się jednak policja i na prowincję tej sztuki nie puszcza.

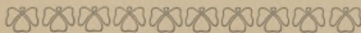
Nowy gwałt w „Kurjerze Porannym"! Tyle krzyku, tupetu, wycieczek osobistych, demagogicznych kruczków, insynuacji — że wprost niesmaczno się robi, że pisarz polski, dziedzic (och!) Mickiewiczów i Słowackich, dotyla nie ma godności własnej i szacunku dla sztuki, której pozornie służy, by w ten sposób reagować na postępek urzędnika, który oczywiście na rozkaz z góry (!) zakazał odegrać tę sztukę na prowincji.

P. Grubiński udaje, że się tego nie domyśla, to też się ciska na Bogu ducha winnego p. Mańkowskiego, zarówno w osobnym artykule, zatytułowanym pełnem jego nazwiskiem, jak i w odpowiedzi (zresztą niepodpisanej) na list p. M. do redakcji „Kurjera Porannego".

Pomijam oczywiście tło osobiste polemiki, na jedną tylko rzecz o ogólniejszem znaczeniu chciałbym zwrócić uwagę. Oto p. G. cytuje raz po raz Sofokle-

arendarzy i propinatorów, obojętnie patrzyła na wyzysk przez nich ludu wiejskiego. Nie dlatego upadła Polska, że była wyłącznie Rzeczpospolitą szlachecką, taką bowiem drogą szły wszystkie narody, a wyłączność ta łagodzona była poczęści patrjarchalnym obyczajem, a przytem uzasadniona tem, że szlachta sama płaciła haracz krwi, własnemi piersiami broniąc siebie i chłopa. Upadła Polska dlatego, że przydomek Króla chłopków nie nęcił jego następców, że śluby Jana Kazimierza nie były wykonane, a Uniwersał Połaniecki — przyszedł o sto lat zapóźno. Te i wiele innych braków trzeba nam naprawić, jeśli chcemy wskrzesić Ojczyznę prawdziwie. Badanie przeszłości niech będzie dla nas zawsze połączone z rachunkiem sumienia i porównywaniem zasług naszych antenatów z naszemi własnemi czynami, a nie przykrywaniem naszej własnej bezczynności lub jałowem narzekaniem na przemoc zabiegliwszych od nas sąsiadów.





sa i Słowackiego, starając się wykazać, że temat podobny spotykamy już u tych pisarzy.

Przepraszam, panie Grubiński, pan kpi czy też o drogę pyta? Czyż polski pisarz, obdarzony niezaprzeczonym talentem, sprawozdawca teatralny i chyba człowiek dojrzały—może nie pojmować, że rzecz cała się obraca nie dokoła zagadnienia „co" lecz „jak"? Sędziowie sądzą zbrodnię i nikt się na nich nie oburza, że rozstrząsają sprawę Macocha np. czy Ronikiera. Lecz opinja publiczna byłaby słusznie wstrząśnięta, gdyby sędziowie puścili wolno Macocha, złożywszy się jeszcze na podróż jego do.. Monaco. A to wszak czyni ze swymi „Kochankami" Grubiński. Sofokles czy Słowacki wykazywali, że opinja to wielka siła, która świadomie lub nieświadomie prowadzi ludzkość do Boga, to jest do rzeczywistego postępu, do prawdziwej wolności i nadczłowieczeństwa we właściwem tego słowa znaczeniu. Grubiński chciałby zniszczyć tajemny instynkt społeczny, objawiający się w prawodawstwie i w sumieniach i piętnujący kazirodztwo, jako grzech i zbrodnię, i chciałby poprowadzić słuchacza za „Kochankami" nie tam „gdzie godnie, lecz gdzie wygodnie", że odwrócę słowa Norwida.

Pan Grubiński jak gdyby nie rozumie, jaka jest różnica pomiędzy jego sztuką a sztukami owych cytowanych wielkich tragików. Z rozczulającą naiwnością opowiada nam o rozmaitych zbrodniach Balladyny i potem pyta: „Dlaczegoż ci, co napadają na moich „Kochanków", pozwalają wystawiać „Balladynę"? O sancta simplicitas! p. Grubiński. A czyż czarna burza i piorun z finału „Balladyny" bardzo nam przypominają ową przecudowną noc, nad której czarem się rozpływają przytuleni do siebie „Kochankowie", zanim ostatecznie kurtyna opada?

Tak, p. Grubiński! Sofokles, Słowacki, Shelley, Wyspiański służyli sztuce prawdziwej, bo służyli Bogu i prawdzie, objawiającej się w społecznym instynkcie moralności, gdy pan służysz bogom użycia, oportunizmu, kaprysu i kabotynizmu.

Czas się nareszcie otrząsnąć z tego i przypomnieć sobie o godności polskiego pisarza.

Juljan Dziewałtowski.

Wojna i polityka.

Ameryka, strażniczka swobód narodowych wszystkich ludów całego świata, przysłała do Polski misję pod przewodnictwem senatora p. Morgentaua, dla zbadania „pogromów" żydowskich w Polsce. Senator Morgentau przybył do nas w czasie mało odpowiednim, bo w Warszawie zwiedza tylko synagogi i bóżnice, gdzie żydostwo łamie wprawdzie kraty żelazne, otaczające domy modlitwy, ale tego chyba „pogromem żydów" nazwać nie można, a natomiast w jego własnej ojczyźnie, w Waszyngtonie i Nowym Jorku odbywają się wypadki, podczas których „misja amerykańska" miałaby sporo do roboty. Wprawdzie murzyni i żydzi to nie to samo, ale jedni i drudzy są ludźmi, a nawet murzyni więcej zasługują i słuszniej im się należą prawa mniejszości, bo żydów nikt nie uciska, a tylko oni czynią wrzask, właściwy zresztą semitom, a murzyni mają istotnie wiele powodów do skarg. Sprawdza się jednak raz jeszcze ewangeliczna zasada, że w oku bliźniego widzi się źdźbło, a we własnem nie dostrzega belki. To zresztą nie tyczy się zupełnie p. Morgentaua, który przybył do nas na skutek zaproszenia przez prezesa ministrów, Paderewskiego, i mamy prawo przypuszczać, że istotnie będzie się starał bezstronnie zbadać stosunki żydowsko-pol-

---

X. Dr. BOLESŁAW WILANOWSKI.

Towarzystwo imienia papieża Benedykta XV.

(Dokończenie).

Kodyfikacja prawa kanonicznego tem większe jeszcze przedstawia trudności, bo nie obejmuje tylko jednej gałęzi prawa, lecz wszystkie: organizację urzędów, administrację, proces, prawo karne i urządzenia kultu religijne. Następnie nie odnosi się ono do jakiegoś jednego tworu państwowego, lecz ma objąć wszystkie części świata, wszystkie ludy i rasy, wszystkie różnice, a nieraz sprzeczności społeczne, ekonomiczne i cywilizacyjne. To też długi czas upłynął zanim po rozmaitych zbiorach i pracach prywatnych pojawiła się pierwsza kodyfikacja Grzegorza IX, uzupełniona kodyfikacją dalszą Bonifacego VIII i zbiorem Klemensa V. Dopiero dziś, po upływie 600 lat, druga tak doniosła nadeszła chwila.

Potrzebę nowej kodyfikacji prawa kanonicznego nie od dziś odczuwano. Początkowo w wieku XIV i XV dążono na razie do zebrania tylko późniejszego po Klemensie V i pominiętego dawniej ustawodawczego materjału. Ważne dla pratyki ówczesnej dekretały Jana XXII zestawiono w szkole bolońskiej. Sprawa kodyfikacji stała się bardziej aktualną po soborze Trydenckim, którego obszerne uchwały, reformujące w wielu kierunkach prawo dawniejsze, kładły podwaliny rozwoju naszego prawa kanonicznego. Inicjatywę w tym kierunku podjął papież Grzegorz VII, za którego rządów został wydany w r. 1582 „Corpus iuris canonici" w dotychczasowym składzie w tekście urzędownie krytycznie ustalonym przez komisję t. zw. korektorów rzymskich. Potem zajmowano się nową kodyfikacją prawa kanonicznego za Sykstusa V, Klemensa VIII i Pawła V, prace te jednak nie doczekały się pomyślnego uwieńczenia. Odtąd na długi czas sprawa kodyfikacji prawa kanonicznego zeszła z porządku dziennego. Nie były to wieki dla pracy takiej odpowiednie, brakło też i odpowiednich ludzi. Dopiero gdy po burzach wielkiej rewolucji, nowe kierunki umysłowe i polityczne wieku XIX zapewniły Kościołowi swobodniejsze stanowisko, gdy i rządy we własnym interesie starały się oprzeć o Kościół, wówczas myśl kodyfikacji poczęła znowu kiełkować, tem bardziej, że potrzeba reform, dyscypliny kościelnej, odpowiadających ogólnemu ówczesnemu położeniu i stanowisku Kościoła, stawała się coraz to więcej naglącą. Dawały temu wyraz tak opinie kardynałów złożone Piusowi IX z r. 1864, jako też i wołania episkopatu francuskiego, niemieckiego, belgijskiego, amerykańskiego, skierowane również do Piusa IX w r. 1870. Lecz ani Pius IX, ani nawet wielki Leon XIII jąć się tej pracy nie mogli. Dopiero gdy dzięki niesłychanie rozumnej działalności Leona XIII wrogowie Kościoła musieli umilknąć, mógł jego następca, Pius X, rozpocząć to wielkie dzieło. Praca kodyfikacyjna, rozpoczęta 13 listopada 1904 r. trwała około lat 12. W skład komisj

skie, których wyjaśnienie wobec całego świata mieć będzie wielkie dla opinji Polski znaczenie.

Żydostwo całego świata, stanowiące istną czarną mafję, sprzysięgło się, aby Polskę przed trybunałem świata oczernić. Potrafili wmówić i Ameryce i Anglji, że my żydów rzniemy, gwałcimy, palimy im i niszczymy ich dobytek. Potrafili także przeprowadzić ochronę żydów, jako mniejszości narodowej w Polsce. I przez te oszczerstwa i przez tę interwencję obcych państw do naszych spraw wewnętrznych Polska musi się czuć dotknięta, musi to wziąć za policzek, wymierzony sobie—tem przykrzejszy, że właśnie od żydostwa pochodzący. Jeśli jednak spojrzymy na sprawę nie z punktu urażonej naszej ambicji, ale z punktu widzenia naszego interesu narodowego, to uznać musimy, że dobrze się stało, jak się stało.

Przez ustawę o prawach mniejszości Żydzi zostali postawieni w jednym szeregu z Niemcami i Moskalami w Polsce, zostali poprostu uznani za obcych i łatwiej teraz będzie nam samym, do żydostwa tak przywykłym, zrozumieć, że Żydzi są dla nas elementem obcym i równie jak Moskale i Niemcy szkodliwym. Przy całkowitem zachowaniu wszystkiego tego, co Żydom i na mocy praw ogólnoludzkich i ustawy o mniejszościach się należy, zastosować będzie można wobec nich wszystkie te środki, które poczucie konieczności samoobrony narodowej dyktować nam będzie. Wszystkie zaś skutki takiego postawienia rzeczy, zarówno dobre jak i złe, zawdzięczać będą Żydzi w Polsce swym współwyznawcom we Francji, Anglji i Ameryce: krzykliwej agitacji żydostwa całego świata przeciwko Polsce. Powróćmy jednak do p. Morgentaua, który zawiódł niewątpliwie nadzieje żydostwa, składając wobec agencji Hawasa oświadczenie, że wszystkie wieści o pogromach w Polsce są mocno przesadzone z jednej strony, z drugiej zaś pouczając Żydów, że na to, by się móc skarżyć, trzeba się samemu wystrzegać win. Bardzo ważne jest oświadczenie p. Morgentaua, że Żydzi dlatego mają w Ameryce wszelkie prawa (ale nie przywileje!), że sami lojalnie za obywateli Ameryki się uważają. Sądzę, że Ameryka nigdyby się nie zgodziła na to, żeby Żydzi byli w Ameryce „neutralni", a już w żadnym razie nie uznałaby takiego rodzaju „neutralności" jaką Żydzi uprawiali we Lwowie i całej Galicji Wschodniej, i nazwaliby ją po imieniu—zdradą.

Objazd p. Morgentaua po obszarach frontu wschodniego dostarczy prawdopodobnie wiele ciekawego materjału do charakterystyki tej „neutralności".

Jaka szkoda, że misja amerykańska z p. Morgentauem nie może udać się poza front bolszewicki i obejrzeć miasta i miasteczka ukraińskie a przedewszystkiem Odesę. Okazuje się, że mimo krzyków żydowskich, w Polsce im się nieźle dzieje, a natomiast raj ziemski dla Żydów—Rosja—naprawdę im od czasu do czasu krew upuszcza. Dziwna rzecz jednak, jak to Żydzi spokojnie przyjmują i jak mało hałasują. Nawet uroczystych zebrań manifestacyjnych — jak to było po wypadkach lwowskich—nie zwołują. Gdzie klucz tej zagadki? Zdaje mi się, że niedaleki będę prawdy, jeśli wskażę, że główne źródło takiego na sprawę poglądu to poczucie „interesu". W Polsce takich złotych interesów, jakie się robi i robić będzie w Rosji, uprawiać się nie da, więc hajda na Polskę. A że Żydzi są namiętni, a następnie najgorsi w świecie politycy, więc sprawa jest wyjaśniona.

Sytuacja wojenna na froncie wschodnim przedstawia się pomyślnie. Nie pomogło ściąganie wojsk bolszewickich z frontu Kołczaka, a może i Denikina pod Mołodeczno i Wilejkę—nasz pochód ku Mińskowi trwa. Azjatycka dzicz jest stale odpychana ku właściwej sobie Azji. Nad Zbruczem również dobrze się

---

kodyfikacyjnej Pius X powołał szereg kardynałów i około 50 konsultorów, teologów i kanonistów. Ponadto odnoszono się i do innych współpracowników poza Rzymem. Ogłoszenie nowego Kodeksu Prawa kanonicznego zostało dokonane przez Benedykta XV bullą Providentissima Mater Ecclesia z 27 maja 1917, z tem, że nowy Kodeks ma obowiązywać od 19 maja 1918 roku. Benedykt XV, idąc za wzorem swych poprzedników po ogłoszeniu uchwał soboru Trydenckiego, powołał do życia osobną komisję dla interpretacji autentycznej postanowień kodeksu i dla redakcji przyszłych nowych przepisów w takiej formie, aby w tekst kodeksu mogły być wstawione.

„Chełpiliśmy się dotąd naszą cywilizacją, lecz ona sromotnie zawiodła, a znękana ludzkość napróżno wygląda od niej ratunku i odrodzenia. Już się mnożą oznaki, że po burzy, którą przeżywamy, przyjść może jeszcze straszniejsza zawierucha ogólnych przewrotów socjalnych, wśród których kultura nasza utonie. Kościół ubezpieczył się właśnie nowem prawem na wszelkie ewentualności, a może ono, potęgując siłę działania i oddziaływania Kościoła, przyczyni się skutecznie do wcielenia w życie ludzi i społeczeństw zasad etyki i miłości chrześcijańskiej, które dotąd niestety, pomimo upływu 19 wieków, były więcej na ustach niż w sercach. Łódź Piotrowa, wyzbywszy się niepotrzebnego balastu, może teraz z ufnością tem pewniej i tem śmielej wpłynąć na fale czasów, które przyjdą".

Po tym pięknym a jednocześnie naukowo wartościowym odczycie prof. Abrahama znajdujemy w pierwszym tomie „Polonia sacra" drugi odczyt, na temże zebraniu wygłoszony, a mianowicie dr. Tadeusza Sinki, prof. Uniw. Jagiell., p. t. „Liryka św. Grzegorza z Nazjansu".

W ostatnich dziesiątkach lat rozkwitły na nowo na Zachodzie Europy studja patrystyczne. Jaki olbrzymi ruch na tem polu tam się odbywa, my tu pojęcia nie mamy. O mierze zainteresowania się dziełami Ojców Kościoła może świadczyć ten fakt, że dwa pierwszorzędne zrzeszenia uczonych poczęły wydawać dzieła ojców i pisarzy kościelnych z pierwszych wieków. Mianowicie Wiedeńska Akademja Umiejętności, poczynając od 1866 roku, wydaje do dziś pisma Ojców i pisarzy Kościoła łacińskich pod ogólnym tytułem: „Corpus scriptorum ecclesiasticorum latinorum". Dotąd wyszło już do 60 tomów w formacie ósemki. Akademja znów Berlińska zaczęła od 1897 r. wydawać pisma greckie z trzech pierwszych wieków chrześcijaństwa „Griechischen christlichen Schriftsteller der ersten drei Jahrhunderte". Idąc za tym przykładem Krakowska Akademja Umiejętności postanowiła również wziąć udział w wydawnictwie Ojców Kościoła greckich poczynając od IV wieku. Pierwszem takiem wydawnictwem naszej akademji mają być dzieła św. Grzegorza z Nazjansu. Ten właśnie zamiar Akademji dał sposobność wykształcenia się w tej dziedzinie czterem specjalistom, których prace już ogłoszone stanowią poważną pozycję z bibliografji Nazjanzeńskiej. Jednym z tych specjalistów—to prof. dr. Tadeusz Sinko.

Dzieł Grzegorza z Nazjanzu Akademja nie zdołała jeszcze wydać, bo trzeba zważyć, że to praca olbrzymia. Oto do 45 mów św. Grzegorza mamy około

dzieje. Na próbę nowej ukraińskiej prowokacji nasze dowództwo tak po męsku odpowiedziało, że prawdopodobnie odechce się Petlurze zaczepiać nas w dalszym ciągu. Dla półdzikich naszych sąsiadów taka odpowiedź jest najwymowniejsza. Kiedyż takim językiem będziemy mogli pomówić z innymi naszymi „przyjaciółmi"? *Z.*

Raz jeszcze o „socjalizmie" Mickiewicza.

Żeromski jest wciąż socjalistą i pragnąłby pod skrzydła socjalizmu ściągnąć kogo się da. Toteż powtarza za Śliwińskim bajkę o socjalizmie Mickiewicza („Organizacja inteligencji zawodowej" str. 27).

Czas już z tą bajką rozprawić się ostatecznie.

Mickiewicz sam nazwał siebie socjalistą, lecz w jakich warunkach? Oto w liście z dn. 15-VIII 1852 do p. Heberta, urzędnika policji w Paryżu, Mickiewicz pisze, że ten miał go uważać za „podzielającego przekonania socjalistyczne" (appartenant à l'opinion socialiste) Mickiewicz jednak tłumaczy:

„Myślę, że te przypuszczenia pochodzą z czasu, gdy redagowałem „Trybunę ludów". Natenczas dawano powszechnie imię socjalistów *wszystkim tym, którzy sprzyjali rewolucji lutowej i sprawie postępu* (à tous ceux qui sympathisaient avec la révolution du février et la cause du progrés), nie należąc jednak do żadnej z dawnych partji. *Z tego tytułu* (1) *byłem i jestem socjalistą.* Jednak różniłem się od socjalistów ówczesnych tem, żem *widział w rewolucji tylko dążenie ku urzeczywistnieniu idei napoleońskiej*".

Z listu tego widać aż nadto dobrze, że Mickiewicz socjalistą nie był, jednak gdyby jeszcze miała być jakakolwiek w tej mierze wątpliwość, to uwagi Mickiewicza o socjalizmie w „Trybunie Ludów" najlepiej by nas przekonały, że nawet socjalizm w interpretacji Mickiewicza, socjalizm francuski Saint-Simona, Fouriera, Enfantina, nic nie miał wspólnego z dzisiejszym socjalizmem, to—znaczy, z socjalizmem żydowsko-niemieckim Engelsa, Marksa i Lassalle'a. Oto Mickiewicz pisze w artykule z dn. 20-IV 1849: „Uczucie socjalne (le sentiment sociale) może dopiero wtedy stać się zapałem (passion), prawdą i czynem, gdy wybuchnie w duszy prawdziwie religijnych i patrjotycznych ludzi.

Uczucia religijne i patrjotyczne są podstawą socjalizmu...

Zgadzamy się z socjalizmem, ilekroć występuje jako rozwinięcie uczucia religijnego i patrjotycznego".

Chyba dość wyraźnie. Moglibyśmy wszak dokończyć powyższą myśl Mickiewicza temi słowy: „Nie zgadzamy się z nim jednak, gdy chce usunąć religję i patrjotyzm, gdy chce oprzeć budowę świata na materjalizmie dziejowym i czynnikach wyłącznie ekonomicznych"—czyli, gdy jest tem, co się *dziś* powszechnie nazywa socjalizmem.

Czas się już wreszcie nauczyć Żeromskiemu i wszystkim innym, chcącym gwałtownie zrobić z Mickiewicza patrjarchę socjalizmu polskiego, że każde słowo odpowiada pewnemu pojęciu i my chcąc czy nie chcąc musimy używać je w utartem znaczeniu. Coby to bowiem było, gdybyśmy n. p. chcieli używać słów współczesnych w znaczeniu staropolskiem. Dajmy na to

„Dlaczego wojsko nie *zaszczyciło* (=obroniło) Tarnopola, zamiast *bydlić* (=przebywać) w Warszawie?

1500 rękopisów. Porównanie ich, określenie wzajemnego stosunku, zebranie świadectw tekstu przynajmniej z pięciu wieków — to przecież wymaga dużo czasu i pracy. Nim więc to zostanie dokonane, prof. Sinko, podając próbę jednego tylko działu, mianowicie pieśni św. Grzegorza, chciał wykazać, że to wydawnictwo Akademji przyniesie rzeczy nie tylko historycznie i teologicznie niezmiernie cenne, ale i estetycznie aktualne i żywe.

Rzeczywiście piękny to wiersz:

„Gdzie me mowy skrzydlate? Wiatr słowa rozwieje.
Gdzie kwiat młodości? Opadł. Gdzie sława? Przebrzmiała.
Gdzie siła członków krzepkich? Choroba złamała.
Gdzie bogactwa? Bóg je ma, a resztę złodzieje.

Gdzie rodzice i bracia? Grób ich kości grzeje.
Jedna mi tylko jeszcze ojczyzna została,
Ale i z niej mię zawiść demona wygnała,
Spuściwszy czarną burzę na moje nadzieje.

Teraz obcy, samotny tułam się wśród świata,
Wlokąc swe życie smutne i starość bez siły,
Nie mam tronu, ni miasta, ni tych, co mi były

Jedyną troską zawsze: owieczek gromady;
I nie wiem, gdzie się jakiej doczekam mogiły
I kto mi zamknie oczy: syn Boga czy zdrady?

Mimowoli przychodzą na myśl pytania, rzucone przez młodego Mickiewicza na fale domowej rzeki, Niemna:

„Kędy jest miłe latek dziecinnych wesele?
Gdzie milsze burzliwego wieku niepokoje?
Kędy jest Laura moja, gdzie są przyjaciele?
Wszystko przeszło, a czemuż nie przejdą łzy moje...."

W drobnych lirykach Grzegorza spotyka się poraz pierwszy w literaturze europejskiej osobiste doświadczenie wewnętrzne, jako przedmiot poezji. Z innych wierszy św. Grzegorza widać, że jego liryka „to jedna spowiedź skruszonego celnika, który nie może na razie zapomnieć o swych zasługach i swych krzywdach, rozpamiętywa dawną świetność i późniejszą nicość, czuje mimo wyrzeczenia się świata coraz to nowe pokusy, póki nie zdołał skupić swej myśli w Bogu i w Nim utonąć.

„Gdyby św. Grzegorz był mniej uczony, mniej zamiłowany w pogańskiej piękności formalnej; gdyby był swój dziennik poetyczny prowadził w języku gminu, w rytmach kościelnych, cały lud grecki byłby w spowiedzi jego znalazł swój własny rachunek sumienia i przyjął je za własne wyznanie; ale wobec języka i metrum antycznego, poezja jego pozostała dla ludu skarbem zakopanym. Na Zachodzie autobiografja jego dodała bodźca do podobnej spowiedzi św. Augustynowi. Ale na Wschodzie żaden Bizantyjczyk nie zdobył się na tak szczegółową obserwację swego życia duchowego, tem mniej na jej spisanie. Dopiero gdy ludzkość zachodnia zaczęła trzeźwieć po zawrotnym karnawale Odrodzenia, wyznania i żale Grzegorza znalazły echo w duszach wielu humanistów. Do nich należy i nasz Dantyszek."

To czyn *niezbędny* (=obrzydliwy) i *żadny* (=brzydki)". Co? pięknie?

Podobnym dziwolągiem jest powtarzać wciąż o socjalizmie Mickiewicza, gdybyśmy bowiem miarą Mickiewicza chcieli mierzyć, powiedzmy, dzisiejszych posłów na Sejm, największym „socjalistą" byłby może... arcybiskup Teodorowicz, tak jak w mowie staropolskiej „najniezbędniejszym" posłem w Sejmie byłby chyba... Pryłuckij, chociaż on tam już zresztą nie „bydli".

Ant. Puchała.

POKŁOSIE.

Przesilenie w łonie rządu. — Walka o władzę. — „Spisek". — Dwulicowość P. P. S. — „Zbrodnia" p. Korfantego. — Projekt „Robotnika" ekspedycji karnej do Wielkopolski. — Nowy wyskok organu „belwederskiego". — „Robotnik Polski" o powstaniu „chrześcijańsko-narodowego klubu robotniczego". — P. Ehrenberg a Krzyż w Sejmie.

Od dwóch tygodni żyjemy pod znakiem przesilenia gabinetowego. Spodziewane od dłuższego czasu, stało się ono faktem po druzgocącej krytyce działalności poszczególnych ministrów ze strony wszystkich niemal frakcji przy pierwszem czytaniu przedłożonego Sejmowi preliminarza budżetowego. Po uciążliwych i odpowiedzialnych rokowaniach paryskich przed p. Paderewskim stanęło znowu niełatwe zadanie—utworzenia nowego gabinetu. Kraj zaś, wstrząsany i zagrożony ze wszech stron zawieruchą wojenną i całym szeregiem ostrych komplikacji wewnętrznych, potrzebujący bezwzględnie jednolitego i silnego rządu, dotknięty został w takiej chwili nieuniknionym kryzysem w łonie władzy wykonawczej.

I tę oto chwilę przełomową nasze żywioły lewicowe uznały za najstosowniejszą dla podjęcia zażartej kampanji przeciwko tym odłamom i grupom naszego społeczeństwa, które chciałyby widzieć odrodzoną Polskę naprawdę niezależną, silną nazewnątrz, wewnątrz zaś opartą na niewzruszonym ładzie społecznym i poszanowaniu praw Boskich i ludzkich.

Cel tych zabiegów, intryg i inwektyw prasowych jest dla każdego aż nadto zrozumiały: wszak idzie o władzę, która od czasu gabinetu smutnej pamięci p. Moraczewskiego wypadła—przynajmniej częściowo—z rąk naszej lewicy.

Oto co w sprawie wspomnianych „posunięć taktycznych" naszej lewicy pisze p. Hł. w „Gazecie Warszawskiej" z dn. 26 lipca:

„Sformować się ma drugi gabinet Paderewskiego i lewica zabiega obecnie, by i on okazał się jaknajmniejszem odchyleniem od tradycji republiki lubelskiej. Zabiega w sposób najrozmaitszy. Nie dopuściła zapomocą wcale zręcznych intryg do wytworzenia się większości w Sejmie, którąby uniemożliwiła wszelką dowolność w tworzeniu nowego rządu i rozpoczęła akcję zastraszania na wielką skalę i bardzo wszechstronną, opartą na znanej zasadzie, że z igły można zrobić zawsze całe widły.

A więc od dni paru mamy w prasie tego obozu głuche wieści o jakimś spisku, czy zamachu.

„Gazeta Polska" pisze o tem w numerze wczorajszym z takiem przeświadczeniem, jakgdyby jej redakcja sama w spisku, czy zamachu brała bezpośredni udział, lub też wtajemniczona była w sekrety jakiejś instytucji, pełniącej w państwie polskiem funkcje dawnej żandarmerji rosyjskiej".

Zaznaczywszy dalej, iż trudno chyba posądzać o jakieśkolwiek knowania antykonstytucyjne te grupy i obozy, które wciąż zabiegają o uzbrojenie rządu do walki z wrogami wewnętrznymi, bez względu na to czy rząd ten zezuje czy nie zezuje na lewo, autor wspomnianego artykułu zwraca uwagę na dwulicową

Postacią św. Grzegorza z Nazjanzu zajmuje się i X. Rektor Fijałek, tylko z innego punktu widzenia. Przedmiotem poszukiwań X. Prof. Fijałka są „Przekłady pism św. Grzegorza z Nazjanzu w Polsce."

„Znajomość pism świętego Grzegorza z Nazjanzu w Polsce przypada na oba okresy studjów u nas patrystycznych: na wiek XVI-y i pierwszą połowę wieku XIX-go, i już w nich obu zaznacza się szczególniej próbą przekładów poezyj jego wybranych. Oba te okresy naszych studjów patrystycznych, a właściwie zaczątki ich, podejmowane dwukrotnie, zarówno pierwszy humanistyczny w stuleciu odmiany wiary, jak i drugi w czasach nowszych, w wieku niewiary, patrologiczny, schodzą się z rozkwitem ich na Zachodzie i są od niego zależne; obydwa mają też wspólne sobie znamię apologetyczno-teologiczne, a wyrosły mocą prawa reakcji z przezwyciężenia kierunku, panującego natenczas wszechwładnie w teologji, scholastycznego przez humanistyczny, a polemiczno-wyznaniowego przez patrologiczny. Zbyt krótko jednak trwały u nas i były naogół przygodne lub nieugruntowane, aby mogły ożywić, podnieść i utrwalić naukę teologiczną, która bez znajomości dzieł ojców i pisarzy kościelnych jest i być musi niezupełną, ciemną i oschłą, niemal studnią bez wody."

Studja patrystyczne zapowiadały się u nas w w. XVI wprost wspaniale. Były po temu wszystkie warunki, a mianowicie: znajomość języka greckiego i uznanie, zrozumienie u góry, wśród episkopatu humanistycznego, że jest potrzeba studjów teologji w przedniejszych źródłach tradycji kościelnej, w dziełach Ojców. Chociaż co do języka greckiego, to w początkach takie jakieś dziwne uprzedzenie panowało, że i uczących się i nauczających języka greckiego wielu wprost nazywało heretykami, lutrami lub schyzmatykami. Lody uprzedzeń i niechęci w pewnych sferach kościelnych do nauczania języków biblijnych przełamali dopiero światli biskupi nasi humaniści.

Po tych uwagach ogólniejszej natury X. Rektor Fijałek przystępuje do drobiazgowych poszukiwań śladów, jakie ówczesne studja patrystyczne pozostawiły w naszych bibljotekach, zwłaszcza Uniwersytetu Jagiellońskiego. Bardzo skrzętnie śledzi wpływ, jaki na naszych teologów wywarł Erazm z Rotterdamu. Szeroko się też rozwodzi o Hozjuszu i Kromerze.

Studjum X. Rektora Fijałka jest w swoim rodzaju jedyne; tak gruntowne, a podające przytem materjał dotąd prawie zupełnie nieznany.

Tom pierwszy „Polonia sacra" kończy krótka rozprawa p. t. „Odbudowa moralna kraju".

Jakkolwiek wydawnictwo „Polonia sacra" ma na oku przedewszystkiem cele naukowe, to przecież w tych wyjątkowych czasach uważało sobie za pierwszorzędny obowiązek obywatelski podnieść i ten temat. Stwierdziwszy na początku istniejące w kraju naszym zło, stara się wynaleźć odpowiednie na to lekarstwo. Za najtrafniejsze uważamy następujące: „Na wrodzone i chroniczne choroby duszy polskiej, na miękkość, lekkomyślność, na brak przewidywania i krytyki niema—poza sferą podniet etycznych — innego lekarstwa jak praca, praca i jeszcze raz praca. Tę pracę—duchową czy materjalną — musi każdy Polak i Polka podnieść,

grę naszych socjalistów, którzy walczą niby z komunistami, lecz czynią to w nader dziwny sposób:

„Oto urządzają demonstracje robotnicze, domagające się niezwłocznego zawarcia pokoju z bolszewikami rosyjskimi, jakkolwiek oni najechali dzierżawy Rzeczypospolitej i zamierzają opanować Warszawę. Socjaliści nasi dalej w również dziwny sposób zwalczają propagandę rewolucyjną komunistów śród naszej klasy robotniczej. Wszystkie ich perswazje sprowadzają się ostatecznie do jednego: nie idźcie za komunistami, poczekajcie, aż my wydamy hasło, bo wydamy je wówczas, kiedy rewolucja udać się będzie mogła i my nie uciekniemy na widok wojska, jak to robią komuniści".

A dalej stwierdza wybitny publicysta, że

„ciż sami socjaliści stawiają w Sejmie zacięty opór wszelkim środkom represji przeciwko agitacji rewolucyjnej, nawet jeśli się domaga ich p. Wojciechowski, który przecież ani o żadną reakcyjność, ani o sympatje endeckie podejrzewany być nie może. Ci sami socjaliści bronią wszelkich strajków, przez komunistów organizowanych, choćby to było w zakładach wojskowych, szpitalach, lub straży ogniowej. Ba, sami zresztą, gdy się uda, strajki urządzają w elektrowni. Ci sami socjaliści pouczają nawet w Sejmie chłopów, że ziemię dostaje się nie na drodze uchwał sejmowych, lecz nożem i żagwią".

Drugim powodem zaciekłych ataków prasy lewicowej stał się projekt p. Korfantego, dotyczący autonomji b. zaboru pruskiego. Największym ferworem i niepojętą wprost namiętnością, odznaczają się wystąpienia „Robotnika", który samą możliwość złożenia Sejmowi podobnego projektu uważa niemal za zbrodnię stanu.

P. Barlicki taką oto receptę postępowania z krnąbrnymi zaleca:

„Gdy — w dobie wielkiej rewolucji francuskiej buntowały się całe prowincje przeciw swojej macierzy, natenczas szedł żołnierz rewolucyjny, łamał bunt i na gruzach zwalonych grodów pisał: tu było miasto! — a z tego urosła potęga Francji, która w wojnie ostatniej okazała się niezwyciężoną. Tak uczy historja, która jest przedewszystkiem wielkiem budownictwem siły narodów i całej ludzkości".

Mimowoli nasuwa się analogja z rządami Bronsztejna-Trockiego, którego Chińczycy i Łotysze mniej więcej w ten sam sposób postępują ze zbuntowanymi grodami „bolszewicji". Czyżby marzenia p. Barlickiego aż tak daleko sięgały?

Tymczasem okazuje się, iż dosłowny tekst owego „zbrodniczego" projektu, podany w jednym z ostatnich numerów „Kurjera Poznańskiego", nie zawiera nic tak strasznego, żeby aż trzeba było burzyć nasze piękne miasta wielkopolskie.

„Wynika z niego jasno — pisze wyżej wspomniany dziennik — że nie chodzi o utrwalenie jakichś separatyzmów, o czem bredzą rozgorączkowane pisma warszawskie, lecz o takie organiczne połączenie ziem b. zaboru pruskiego z Królestwem, któreby pozwoliło stopniowo znieść odrębności naszego ustroju administracyjnego bez wywoływania nagłych wstrząśnień. Jak się dowiadujemy, został projekt aprobowany przez posłów sejmowych ziem b. zaboru pruskiego i przedłożony radzie ministrów. W rzeczowej dyskusji porozumienie na podstawie tego projektu nie będzie trudne".

„Gazeta Polska" rywalizuje najwidoczniej z „Robotnikiem" pod względem niewczesnych wyskoków. Pismu temu mocno nie w smak poszła przemowa Naczelnika Państwa do nuncjusza papieskiego, co jest conajmniej dziwne wobec ogólnie znanego półurzędowego charakteru organu p. B. Straszewicza.

„Gazeta Polska" pisze mianowicie:

„W sferach wolnomyślnych i postępowych społeczeństwa polskiego z przykrem zdziwieniem przyjęto mowę Naczelnika Państwa do Nuncjusza Papieskiego. Mowa ta przedstawiała Polskę jako kraj uległy Rzymowi, kiedy tak na szczęście nie jest. Dziś nie cały naród składa hołd Papieżowi, gdyż inteligencja narodu, tak jak inteligencja wszystkich narodów Zachodu nie jest już „zawsze wierną" i nie żywi ona przywiązania synowskiego do Stolicy Apostolskiej, która nie ma zaiste prawa do wdzięczności ze strony polskiej.

Przemówienie Naczelnika Państwa w dzisiejszych czasach brzmi archaicznie, odbiega ono jaskrawo od tego stanowiska jakie wobec Watykanu zajmują Francja, Włochy, Anglja i Ameryka.

Koła wolnomyślne polskie pragnęłyby, aby Polska poszła za przykładem tych państw i całkowicie oddzieliła sprawy polityczne od religijnych".

Dobrą odprawę radykalizującej gazetce udziela „Dziennik Powszechny" pisząc:

„Przemowa naczelnika państwa do nuncjusza Rattiego nie spodobała się „Gazecie Polskiej", jako „hołd dla Papieża", wyrażony imieniem całego narodu. Nie godzą się na to mianowicie jakieś bliżej nieokreślone „sfery wolnomyślne i postępowe", których imieniem „Gazeta" występuje. Wolnomyślność tych sfer jest niewątpliwa, gdyż protestują przeciw „uległości" Polski względem Watykanu. Natomiast inteligencja ich odźwierciadla się w tem, że jako przykład miłych sobie stosunków z Watykanem stawiają te sfery między innemi... Anglję, która jest, jak wiadomo, państwem protestanckiem, a nie zapominają też o Francji i Włoszech, gdzie rządzące wolnomularstwo do niedawna prześladowało katolików, wbrew wszelkim zasadom wolności wyznań".

„Polska odnosi się do głowy Kościoła tak, jak przystało na kraj rdzennie katolicki i w przyszłości również odnosić się będzie tak samo. Naczelnik państwa, przemawiając do nuncjusza Rattiego, był tylko lojalnie wiernym wyrazem narodu jako całości, w której owa „wolnomyślna inteligencja" ginie jak kropla w morzu, wraz ze swymi studenckimi poglądami na stosunki między Polską a Watykanem."

Należy przytem dodać, iż gros owej „wolnomyślnej" inteligencji stanowią obywatele nie tylko neutralnego wyznania lecz i „neutralnej" narodowości.

Wobec tego aroganckiego wystąpienia „Gazety Polskiej" tem większego znaczenia nabiera fakt powstania w Sejmie „narodowo-chrześcijańskiego klubu robotniczego".

prawie zdwoić, choćby to miało się stać tu i owdzie z uszczerbkiem wyjątkowo słabych organizmów. Trzeba przedewszystkiem narodowi przedstawić i przekonać go o godności pracy; trzeba przekształcić w tym kierunku jego umysłowość i na większą wrażliwość nastawić sumienie. Dla Polski podniesienie wydatności pracy jest kwestją życia i śmierci. Żadne podatki, konfiskaty i inne radykalne reformy nie wyrównają takiego trwałego niedoboru, bo życie gospodarcze musi się rozwijać przez kapitalizowanie (nie w pieniądzach, ale w środkach produkcji, fabrykach i t. d.) każdorocznych oszczędności narodu, a nie przez wydawanie i uszczuplanie narodowego majątku."





Krakowski „Robotnik Polski", organ „chrześcijańsko-narodowego stronnictwa robotniczego" w Galicji, tak ocenia to doniosłe w naszem życiu politycznem zdarzenie:

„Posłowie robotnicy z Poznańskiego, patrząc na chwiejność polityczną narodowego związku robotniczego i widząc, że hasła walki klasowej, jaką to stronnictwo wysuwa, nie wyjdą na korzyść robotnika, mieli odwagę odczepić się od tej organizacji politycznej i razem z chrześcijańsko-robotniczymi posłami utworzyć jedno stronnictwo, które już swą nazwą stwierdza, że chce walczyć przedewszystkiem o polityczne interesy robotnika, a działać będzie na zasadach chrześcijańsko-narodowych. Tem samem w Sejmie polskim stanie naprzeciw klubu robotniczego socjalistycznego robotniczy klub chrześcijańsko-narodowy, klub, który świadom swego ogromnego zadania niewątpliwie potrafi mu godnie odpowiedzieć. Robotnicy chrześcijańscy w Polsce mają odtąd silną podporę w Sejmie, bo chrześcijański klub narodowo-robotniczy już dziś liczy 30 posłów, a zapewne po ferjach letnich oraz po wyborach, które będą przeprowadzane w dzielnicach Polski dotychczas nieoswobodzonych, wzrośnie do liczby znacznie większej i wśród stronnictw sejmowych zajmie pierwszorzędne miejsce".

„Robotnik Polski" podkreśla dalej, że

„Obok jednolitych organizacji zawodowych powstaje jeden klub polityczny w Sejmie, a w następstwie tego wytworzy się na obszarze Rzeczypospolitej Polskiej jedna partja robotnicza chrześcijańsko-narodowa.

Że utworzenie chrześcijańskiego klubu narodowo-robotniczego oznacza wzmocnienie wpływów politycznych chrześcijańskich robotników o tem chyba nie potrzeba mówić, bo to samo przez się jest zrozumiałe. Wpływ klubu na stosunki polityczne, zwłaszcza w dziedzinie ustawodawstwa robotniczego i społecznego będzie zapewne bardzo wybitny, a szerokie warstwy robotników chrześcijańskich znajdą w nim rzetelnych obrońców".

Łączymy się z „Robotnikiem Polskim" w życzeniach nowemu klubowi sejmowemu jaknajowocniejszej pracy dla dobra robotnika, Kościoła i Ojczyzny.

A że nowemu klubowi, który śmiało stanął pod sztandarem chrześcijańskim, wypadnie zwalczać duże trudności, i dużo uprzedzeń przełamywać, tego dowodzi drobna ale wielce charakterystyczna wzmianka, jaka się ukazała we wczorajszym numerze „Kurjera Porannego". Organ p. Ehrenberga pisze:

„Wczoraj nad drzwiami sali obrad w Sejmie zawieszono wielki krzyż z Chrystusem, ofiarowany z inicjatywy ks. arcyb. Teodorowicza Sejmowi przez Koło pań katolickich. U stóp krzyża widnieje orzeł, nad którym napis: „Pod tym znakiem zwyciężysz".

Krzyż ten jest trzecim z rzędu, nad którego umieszczeniem obradował konw. senjorów, dwukrotnie odnośne propozycje odrzucając. Dopiero wczoraj, w dniu uchwalenia traktatu o mniejszościach narodowych, Godło wiary chrześcijańskiej zawieszono nad salą".

Naszych „postępowców", rekrutujących się przeważnie z pomiędzy „neutralnych", razi już nawet Krzyż, godło miłości najszczytniejszej i ofiary największej. W swej arogancji uważają, widocznie, że tolerancja dla mniejszości każe olbrzymiej większości wstydliwie ukrywać się z tem, iż jest chrześcijańską i katolicką. Ale próżne to próby. Naród polski nie zapomni o haśle, które przyświecało mu dotąd i z ufnością będzie znowu spoglądać na Krzyż, pomny słów: „Pod tym znakiem zwyciężysz".

Ad.



Uwagi.

Czy kto miał jakie zyski wojenne, czy ich nie miał, musi dziś wypełniać przeróżne formularze, kwestjonarjusze, piśmienne zeznania.

Czy kto ma kamienicę, czy nigdy jej nie miał i mieć nie zamierza, też musi wypełniać ogromnie długie kwestjonarjusze, które tem się wyróżniają, że 99 na 100 nie może się połapać, o co w nich chodzi.

Zrospaczeni kupcy, przemysłowcy, kamienicznicy, kapitaliści chodzą po mieście gromadnie, czychając na znajomych „literatów", „publicystów" i wogóle ludzi pióra, by ci im tłumaczyli, co pytania stawiane mają znaczyć, bo sensu większość uchwycić nie jest w możności.

Okazuje się jednak, że winna tu nie tępogłowość czy brak literackiego wyrobienia „podatników" lecz nadzwyczajna zdolność wyrażania się możliwie najzawikłaniej szanownych twórców owych formularzy.

Wszystkie piękne twory językowe galicyjskiej biuralistyki, najzupełniej obcy językowi polskiemu porządek wyrazów, używanie prowincjonalizmów, zrozumiałych może tam gdzieś „bliżej Widnia" ale całkiem niezrozumiałych bliżej Warszawy, nonszalanckie lekceważenie znaków pisarskich w połączeniu z niedbałą korektą — oto obraz przeciętnego kwestjonarjusza, wysyłanego z biur państwowych urzędów podatkowych.

Literalnie nie widziałem ani jednego formularza, przeznaczonego dla publiczności, któryby był zupełnie poprawny pod względem stylowym i gramatycznym.

Takiej niechlujności dłużej tolerować nie można!

Dwa są wyjścia z tego bagna:

1) urządzić stałe kursy języka polskiego, obowiązujące dla wszystkich funkcjonarjuszów rządu, nie wyłączając ministrów — albo 2) utworzyć przy ministerjum oświaty specjalną komisję, któraby wszystkie druki wszystkich urzędów przeglądała przed oddaniem ich do składania i poprawiała je tak, jak nauczyciel poprawia w szkole nieudolne ćwiczenia z języka polskiego.

Nie zawadziłoby też może brać od każdego urzędnika państwowego czy komunalnego — obok innych przyjętych już przy obejmowaniu posady zobowiązań — piśmienne przyrzeczenie dbałości o czystość, jasność i poprawność języka polskiego we wszelakich papierach i dokumentach biurowych.

(s.).

* * *

Słysząc przez kilka lat z rzędu narzekania ogólne na drożyznę i przyzwyczajony będąc do myślenia logicznego, byłem mniemania, że zniżka cen choć na część artykułów zostanie powitana powszechną radością. Tymczasem zupełnie odwrotny objaw spostrzegam.

Przedewszystkiem nie dalej, jak wczoraj słyszałem wywody stróża, przepraszam „dozorcy domowego" w bramie, głoszone na konferencji poufnej ze służącemi, przepraszam „pomocnicami domowemi".

— Cieszyta się, głupie, że materjały staniały, a nie rozumita tego, że jak wszystko zacznie tanieć, to nie będzie mowy o nowej podwyżce pensji..

Strasznie zirytowany też jest zniżką cen herbaty, kawy, pieprzu, migdałów, czekolady, kakao i tym podobnych towarów poblizki kupiec kolonjalny. Zawsze drożyznę spędzał na paskarzy, a tymczasem z chwilą spadku cen wyszło na jaw niechcący, że i on sam był też kawałkiem paskarza.

Jeszcze z większą nienawiścią o normowaniu się cen artykułów spożywczych i materjałów łokciowych mówi pan Alfons Agitatorski (właściwe nazwisko: Ajzyk Apfelkopf) kolega po fachu towarzyszów Daszyńskiego, Moraczewskiego, Barlickiego i innych Perlów.

— Towarzysze, głosi namiętnie, to jest „kawał“ burżuazji w porozumieniu z imperjalistami Anglji, Stanów Zjednoczonych i Francji. Umyślnie zniżyli chwilowo ceny, by was otumanić, byście zaprzestali domagać się podwyższenia nędznych płac dotychczasowych. Pokażcie światu całemu, że przejrzeliście ich niecne zamiary i właśnie dziś jeszcze dajcie dowód swej przenikliwości i zażądajcie podwyżki o 100 procent conajmniej!

Tu pan Apfelkopf-Agitatorski przerwał na chwilę, spodziewając się burzy oklasków. Lecz, o dziwo, efekt zawiódł. Słuchacze bez zapału przyjęli do wiadomości postulat nowych podwyżek. Czyżby rozsądek brał już górę? Nie, pan Apfelkopf-Agitatorski do tego nie dopuści!

Ale zabiegi mogą mu się nie udać, trzeba tylko, by ziemianie i wielcy, i średni i ci drobni zaczęli: 1) kontentować się normalnym zyskiem z gospodarki na roli; 2) sprzedawać produkty kooperatywom i hurtowniom chrześcijańskim, unikając pośredników, faktorów i przekupniów.

Liczba niezadowolnionych hyjen drożyźnianych chwilowo może się zwiększy — ale usunąłby się grunt z pod nóg agitacji wywrotowej, wyzyskującej do swych celów drożyznę artykułów pierwszej potrzeby.

(s.).

* *

Stolica—to głowa państwa, po francusku „Capitale“. Stolica reprezentuje państwo nazewnątrz, ale też i troszczyć się o jego resztę powinna. O tem często Warszawa zapomina.

Weźmijmy np. prasę warszawską. Jest, coprawda, parę pism takich, co pamiętają o tem, że się na Warszawie Polska nie kończy, zato inne pisma—i trzeba to powiedzieć—najbardziej poczytne, zupełnie nie pamiętają o tem, że wszak to prasa winna nie tylko przynosić ostatnie wiadomości, nie tylko bawić czytelnika, ale i—*wychowywać*. Pisać nie tylko o tem, na co czytelnik „leci“, ale też i o tem, o czem powinien wiedzieć, nad czem powinien pomyśleć, chociaż mu się o tem myśleć nie chce.

Jakże licho np. odtworzone jest w prasie warszawskiej życie prowincji. Lwów, Kraków, Poznań—jeszcze, jeszcze, ale już Wilno!... „Kurjer Poranny“ np., „Przegląd Wieczorny“ zda się nie wiedzą wcale, że takie miasto wogóle w Polsce istnieje. Od trzech miesięcy jedna tam tylko, jeśli się nie mylę, była korespondencja z Wilna i to przez takiego znawcę miejscowych stosunków, że nie miał nic mądrzejszego do roboty w Wilnie, jak zapewnianie jakiegoś poczciwego żołnierza, że „to miasto litewskie, a nie polskie“.

Niechże prasa warszawska pamięta, że jednym z jej obowiązków jest czuwanie nad życiem *całej* Polski, nie zaś tylko Warszawy i wpajanie tej troski o los całego kraju czytelnikom. *(c.)*.

Z PISM i KSIĄŻEK.

W szeregu wydawnictw M. Arcta ukazało się znowu kilka książek, zasługujących na bliższą uwagę. Dwie przedewszystkiem wymienić należy:

Antoni Bolesław Dobrowolski: **„Podstawy ideologji polskiej“.** 1919. Str. 23. Cena 1 mk. 50 fen.

Lucjan Zarzecki: **„O idei naczelnej polskiego wychowania“.** 1919. Str. 45.

Obie nadają się do obszerniejszego omówienia na łamach „Sprawy“, więc w tej chwili poprzestajemy na ich zanotowaniu.

Z innych książek tejże firmy zwracają na siebie uwagę dwie niewielkie ale pożyteczne prace:

E. Lavisse: **„Świat rzymski w przededniu wieków średnich“.** 1919. Str. 56. Cena 2 mk. 20 fen.

Dr. Eustachy Nowicki: **„Lwów — dzieje bohaterskiego grodu“,** z 6 rysunkami. Warszawa. 1919. Str. 52.

Rzecz napisana potoczyście, a bez gadulstwa. Nadaje się doskonale do bibljotek szkolnych. Musi jednak wydawca zrobić pewną poprawkę w książce, gdyż przez niedopatrzenie drukarni dostały się dość najzupełniej nie wiążące się z treścią ustępy o górach Świętokrzyskich (strony 53—56), najoczywiściej omyłkowo wstawione z innej całkiem pracy.

W cyklu wydawnictw Związku Miast Polskich ukazały się świeżo trzy następujące prace:

Inż. J. Tuliszkowski: **„Zorganizowanie ochrony przeciwpożarowej w Polsce zjednoczonej“.** Warszawa. 1919. Str. 12.

Adolf Suligowski: **„O projekcie nowego prawa mieszkaniowego dla miast“.** Warszawa. 1919. Str. 9.

Dr. Włodzimierz Kozubski: **„Znaczenie Komunikacji Miejskiej“.** Warszawa. 1919. Str. 8.

Na wydawnictwa te zwracamy uwagę wszystkich, mających jakąkolwiek styczność z zarządem miast, a przedewszystkiem członkom rad miejskich i magistratów.

„SPRAWA“ wychodzi pod kierunkiem X. Dr. Kazimierza Lutosławskiego przy najbliższym udziale X. Prof. K. Tomczaka oraz panów: T. Błażejewicza, J. Chacińskiego i X. Dr. B. Wilanowskiego.

Prenumerata „SPRAWY“ wynosi rocznie Mk. 55, półrocznie Mk. 30, kwartalnie Mk. 16. Prenumeratę przyjmują wszystkie Księgarnie: Ajencje, Kantory pism i Redakcje o pokrewnym kierunku.

OGŁOSZENIA: Za jeden wiersz petitu, lub jego miejsce: przed tekstem Mk. 1.50, w tekście Mk. 3.—, reklamy Mk. 1.25, zwyczajne Mk. 1.— Administracja: Zgoda 5, w podwórzu, otwarta od g. 9 do 3. Przekazy należy adresować wyłącznie: Administracja „SPRAWY“ Zgoda 5.

Redaktor i wydawca: X. Dr. K. LUTOSŁAWSKI. Złożono i odbito w drukarni F. Wyszyński i S-ka, Zgoda 5.